

# WIAS

## I KONGRES NAUKI POLSKIEJ

29-VI - 2-VII 1951 R.

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 8. VII. 1951 r.

Nr 27 (309)

CZESŁAW NOWIŃSKI

## BUDOWA SOCJALIZMU A ROZWÓJ NAUKI



**I** Kongres Nauki Polskiej! Tyśiące uczonych z wszystkich polskich uniwersytetów, ze wszystkich instytutów i innych placówek badawczych zjechało do Warszawy, aby omówić najbardziej istotne sprawy polskiej nauki, sprawy jej rozwoju, jej ściślejszego powiązania z życiem narodu, z wykonaniem planu 6-letniego, z budową podstaw socjalizmu w Polsce, z naszą walką o pokój. Kongres otacza wielka uwaga polskiego społeczeństwa, opieka Partii i Rządu. Bo też jakże poważna jest rola nauki w Polsce, budującej socjalizm.

Należy więc zdać sobie sprawę: dlaczego w krajach imperialistycznych, w sferze panowania kapitału monopolistycznego nauka zwyrodniała i nie może więcej prawidłowo się rozwijać tak, że budowa socjalizmu staje się koniecznym warunkiem dalszego rozwoju nauki,

...dlaczego budowa socjalizmu wymaga rozkwitu badań naukowych, dlaczego nie jest możliwe wykonanie naszych dalekosiężnych planów gospodarczych bez odpowiedniego rozwoju nauki,

...dlaczego wreszcie nauka staje się sprawą, która obchodzi cały naród, staje się sprawą ogólnonarodową.

A więc: budowa socjalizmu jako warunek rozwoju nauki; rozwój nauki jako warunek budowy socjalizmu i ogólnonarodowy charakter naszej nauki — te 3 zagadnienia przedkładamy czytelnikowi.

Od czasów Mikołaja Kopernika, a więc w ciągu ostatnich lat 400 nauka poszła milowymi krokami naprzód. Produkcja kapitalistyczna łączyła się z rozwojem techniki, technika nasuwała nowe problemy i zadania nauce, odkrycia zaś naukowe i wynalazki z kolei przyczyniały się do doskonalenia techniki. Wiek XIX, w którym nastąpił szczególnie poważny rozwój nauki i techniki, nazwano zaszczytnie wiekiem pary i elektryczności. Ale wiek XX prześcignął swego poprzednika. Nazwa wieku elektryczności już go nie zadawała. Nasz wiek chciałby sobie zasłużyć na miano stulecia energii atomowej, chemii i biologii. Wyzwolenie i wprężenie w służbę człowieka niewyczerpanych zasobów energii wewnątrz atomowej, synteza chemiczna, twórcze przekształcenie żywej przyrody, tworzenie nowych gatunków zbóż, owoców, zwierząt, coraz skuteczniejsze zwalczanie chorób — oto są niezmiernie możliwości panowania nad przyrodą, które mogłyby stanowić dumę XX wieku. Ale jednocześnie jesteśmy świadkami faktu, iż kapitalizm, który w zeszłych stuleciach pobudzał rozwój nauki stał się od dziesiątków lat, w okresie imperializmu hamulcem jej rozwoju.

Weźmy jako przykład biologię. Badania biologiczne takie, jakie prowadzi uczeni w Związku Radzieckim, otwierają zupełnie nowe i nieznane dotychczas możliwości przed rolnictwem. Tymczasem biologowie roślin i zwierząt nie rozwijają się należycie w krajach kapitalistów. Na ostatnim np. Kongresie Biologów w Sztokholmie w r. 1948 zajmowano się w pierwszym rzędzie sprawami ras ludzkich i eugeniki (pozadzroszczono widocznie laurów hitlerowcom), omawiano też takie tematy, jak „zdolność poruszania uszami” — (referent prof. L. Einder), albo „dziedziczenie dużego palca u nogi” — (referent prof. T. Romanus).

Natomiast nie zajmowano się sprawami chyba ważniejszymi niż zdolność poruszania uszami, chociażby sprawą zwiększania wyda-

ności upraw zbożowych, młeczności krów itp. Dlaczego? Dlatego, że kapitaliści nie widzą obecnie możliwości zwiększenia swych zysków przez udoskonalenie rolnictwa i hodowli. I tak przecież palą nadwyżki zbożowe, aby utrzymać ceny na rynku światowym.

Oto więc jaskrawy przykład podania nauki potrzebom dyktatury monopolu kapitalistycznego. Taka nauka rozwiązuje nie te zagadnienia, które służą narodowi i dobrobytowi ludu, lecz te które dyktuje interes kapitalisty. Tak np. badania „rasowe” pozostają w związku z interesami kolonialnymi, badania „psychologiczne nad kwalifikacjami robotników” — ze sprawą zysków kapitalisty itd.

Interesy kapitalistów nie pozwalają nieraz na wprowadzenie w życie już dokonanych odkryć i wynalazków. Oto przykład. Wielki koncern samochodowy „General Motors” wykupuje wiele patentów na wynalazki, ale zaledwie jeden patent na sto stosuje w praktyce. Reszta zaś chowa pod sukno. Na cóż mu służy wykupienie patentu? Chroni przed próbą konkurencji. Monopole kapitalistyczne hamują więc rozwój nauki i wypaczają kierunek badań. Szczególnie nauki kapitalistycznej w zachodzącym obecnie procesie militarystyki nauki. Kapitalizm naszej doby rozwija siły wytwórcze tylko dla potrzeb wojny, bo monopolom gwarantują zyski przede wszystkim przygotowania wojenne. Toteż fizyka,

chemia, inżynieria rozwijają się w krajach kapitalistycznych pod kątem potrzeb wojennych, rektorami zaś i kierownikami uniwersytetów coraz częściej mianowani są generałowie. Fizyka badań atomowych służy np. wyłącznie produkcji bomb atomowych. Z początkiem 1950 r. postanowiono co prawda przystąpić do budowy w pobliżu Nowego Jorku zakładów doświadczalnych dla badań nad zastosowaniem energii atomowej w przemyśle, jednak koszt tych badań miał wynieść tylko 3 proc. ogólnych wydatków na badania energii atomowej. Ale już po trzech miesiącach komisja energii atomowej odłożyła budowę tych zakładów i badanie nad pokojowym zastosowaniem energii atomowej na czas nieokreślony, aby umożliwić koncentrację wysiłków nad udoskonaleniem bomby atomowej. Wielki kapitał amerykański był bardzo zaniepokojony projektem tych badań, rozpoczął też gwałtowną przeciwko nim kampanię prasową, dowodząc, że stosowanie energii atomowej dla celów pokojowych będzie niezmiernie kosztowne i stanowczo się nie opłaca. Oczywiście, badania nad udoskonaleniem bomb atomowych, barbarzyńskiego środka niszczenia — opłacają się znacznie lepiej. Opłacają się też badania nad bakteriami, ale nie po to, aby zwalczać bakterie chorobotwórcze, lecz po to, by z bakterii uczynić narzędzie śmierci, by przez rozsiewanie bakterii powodować straszliwe epidemie. Jeden z uczonych amerykań-

skich, Rozebury, powiedział w związku z tym „Jeśli chcecie zrozumieć wojnę bakteriologiczną musicie stanąć na głowie. Wojna bakteriologiczna jest odwróconą nauką, jest odwróceniem porządku przyrody. Normalnie badamy choroby aby im zapobiegać lub je leczyć! Lecz wojna bakteriologiczna stawia zadanie: wywołać choroby”... „Dr Leon Szilard z uniwersytetu Chicago widocznie umie stawać na głowie, gdyż zajął się obliczeniem „jaką ilość neutronów lub ciężkiego wodoru musimy doprowadzić do eksplozji, aby tą właśnie metodą zabić wszystko na ziemi”. Dr Szilard powiada: „Dośzedłem do wniosku, że około 50 ton neutronów wystarczy do zabicia wszystkiego, co równa się około 500 tonom ciężkiego wodoru”. Najlepsi uczeni krajów kapitalistycznych odczuwają wstręt do takiej wynaturzonej, zbrodniczej nauki, 10 wybitnych fizyków z Einsteinem i Morrisonem na czele złożyło ostatnio protest przeciwko militarystyce nauki. Wielki zaś fizyk i bojownik o pokój, Fryderyk Joliot Curie, mówił w Warszawie na uroczystości nadania mu tytułu doktora honoris causa Warszawskiego Uniwersytetu: „Nie chcemy widzieć zubożenia... wyniku naszych badań. Pracujemy dla ogółu, dla dobra mas ludowych, nie chcemy pracować dla korzyści jednostek ani dla wojny. Jesteśmy zaniepokojeni tym, że nauka, którą uprawiamy będzie użyta do złych celów. Dlatego nasze rozważania naukowe nie są dziś

dostatecznie ścisłe, są mniej płodne, a myśli nie płyną szeroko i swobodnie”. Jak wiemy Fryderyk Joliot-Curie, jednego z największych fizyków współczesnych i największego fizyka Francji, rząd francuski, wysługujący się imperialistom amerykańskim, zwolnił ze stanowiska Wysokiego Komisarza Badań Atomowych, gdyż Joliot-Curie nie chciał zgodzić się aby jego placówka naukowa służyła celom wojennym, natomiast domagał się prowadzenia w dalszym ciągu badań nad pokojowym zastosowaniem energii atomowej w przemyśle. We Francji zdegradowanej do roli dostawcy mięsa armatniego amerykańscy imperialiści usiłują w ogóle wstrzymać rozwój nauki i uzależnić technologiczne wyposażenie od Ameryki.

Sądzę, że po tych uwagach są dla nas zrozumiałe przyczyny niedorozwoju szeregu gałęzi nauki w Polsce w okresie międzywojennym. Przecież nie brakowało nam nigdy uzdolnionych ludzi, utalentowanych naukowców. Przecież nazwiska takich fizyków jak Smoluchowski, Olszewski, Wróblewski, rozślawiły imię Polaka na całym świecie na początku XX wieku. Dlaczegoż zamary stworzone przez nich ośrodki badań w okresie międzywojennym? Dlatego, że byliśmy wtedy półkolonią, w dużej mierze zależną od kapitału imperialistycznego, w którego interesie wcale nie leżał rozwój fizyki, chemii i techniki w Polsce. Z tych samych powodów wybitne odkrycia

polskiego geologa naftowego Grzybowski (metoda badań otwornicowych) nie znalazła warunków rozwoju i zastosowania w Polsce sanacyjnej, a stosowana jest teraz w Stanach Zjednoczonych. Jakże mogły się u nas należycie rozwijać nauki rolnicze, wiązać się z praktyką rolnictwa i służyć jej, gdy stan materialny i położenie klasowe chłopstwa polskiego, żyjącego i spychanego w warunki coraz bardziej zacofanej gospodarki rolnej nie sprzyjały przyjmowaniu przez chłopów odkryć naukowych i stosowaniu wyższej techniki.

Imperializm stał się prawdziwym hamulcem rozwoju nauki, zarówno w metropoliach jak i w krajach od nich zależnych, nauka pod panowaniem monopolu kapitalistycznego degenerowała się, i wyrodnie wciążyła, zmuszona do pełnienia służby dla „brudnych wojen” kapitału i dla jego perfidnego masowego wyzysku. Jest ona o sto mil od pełnienia szczernej służby dla ludu, dla jego potrzeb, dobrobytu i rozwoju.

Tylko socjalizm stwarza obecnie warunki dalszego rozwoju nauki służącej dobru narodów i ludzkości. Wyzwalając człowieka, zrzucając jarzmo imperializmu, rewolucja socjalistyczna wyzwala także i naukę. Nauka nie musi więcej służyć dyktanda kapitału. Może wszystkie swe siły oddać ludowi, służyć rozwojowi narodu, służyć sprawie pokoju. Już samo usunięcie hamulców kapitalistycznych pozwala wydobycić wóz nauki ze ślepego toru i przyspieszyć jego ruch postępowy.

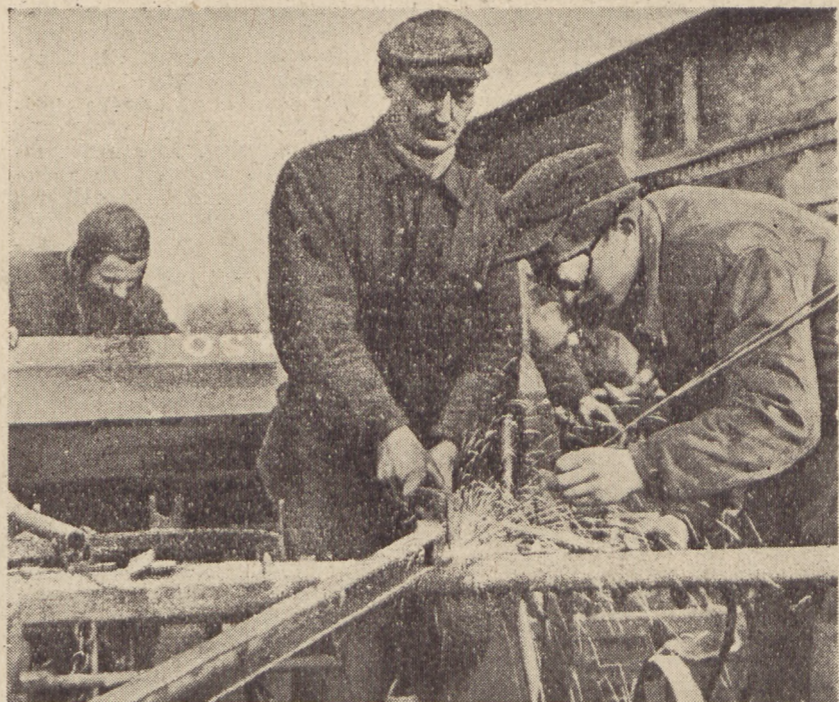
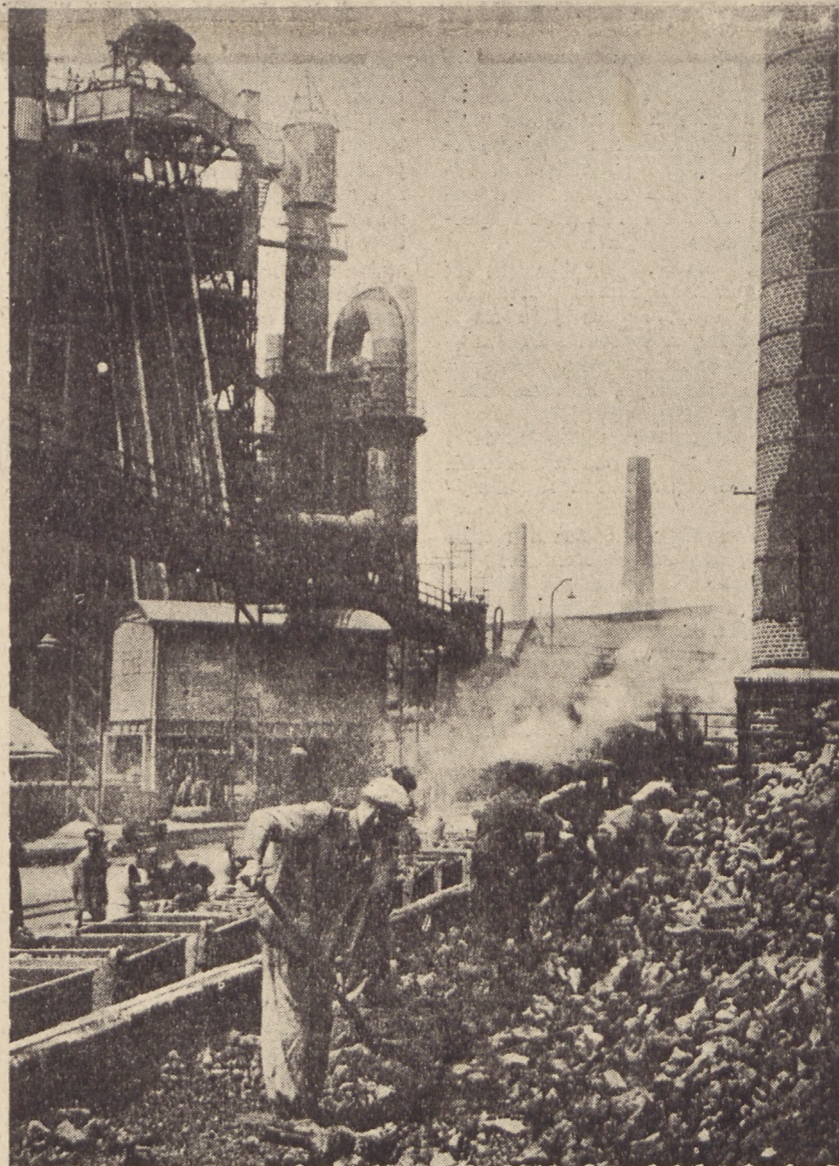
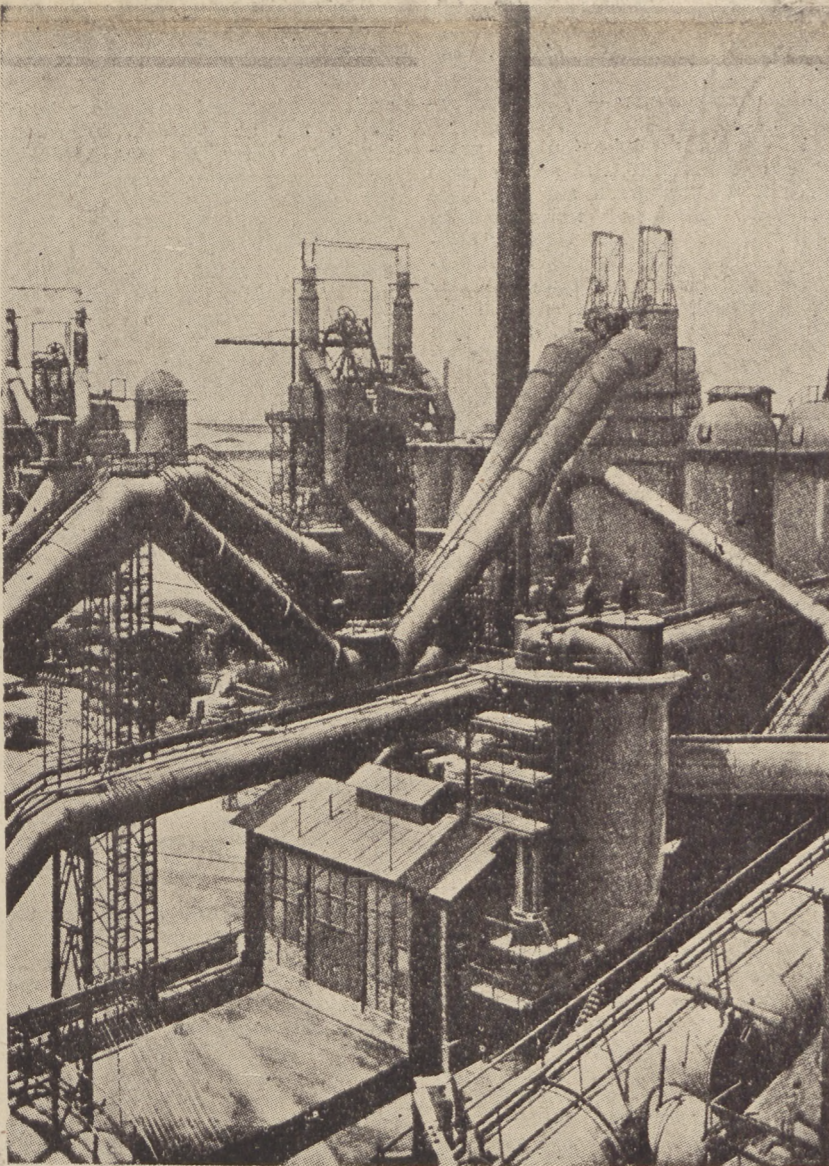
Chodzi jednak nie tylko o to. Rewolucja socjalistyczna jest początkiem nowej epoki w dziejach ludzkości. Odtąd bowiem historia jest świadomie i planowo tworzona przez ludzi. Państwo socjalistyczne zostało stworzone i rozwija się według planu, opartego na naukowej podstawie, na teorii marksizmu-leninizmu. Zilustrujemy to na przykładach. Lenin zbadał rozwój kapitalizmu w XX wieku i na podstawie analizy tego okresu doszedł do naukowo uzasadnionego wniosku o możliwości rewolucji socjalistycznej w jednym kraju bez czekania, aż dojrzą warunki rewolucji w głównych krajach kapitalistycznych.

Na tym odkryciu naukowym Lenina oparła się Wielka Rewolucja Październikowa.

Stalin jest twórcą naukowej teorii socjalistycznego uprzemysłowienia. Zgodnie z tą teorią uprzemysłowienie socjalistyczne w odróżnieniu od kapitalistycznego ma za punkt wyjścia rozwój ciężkiego przemysłu, a w szczególności przemysłu maszynowego. Praktyka socjalistycznego uprzemysłowienia ZSRR była realizacją teorii Stalina. I my, budując w Polsce Ludowej przemysł socjalistyczny w ramach Planu 6-letniego, odrabiamy wiekowe zacofanie i przekształcamy Polskę w kraj potężnego przemysłu i kolektywnego, opartego na nowej technice rolnictwa operamy się na nauce Lenina i Stalina.

Jest oczywiste, że w ustroju, w którym cała praca państwa i społeczeństwa oparta jest na teorii naukowej ogromnie wzrasta rola i funkcja społeczna nauki. Praca naukowo-badawcza staje się odpowiedzialną sprawą państwową. Przed nauką zaś otwierają się nie tylko nowe zadania, ale i nowe możliwości rozwoju. W ustroju, który znosi wyzysk człowieka przez człowieka nauka społeczna nie maskuje rzeczywistych stosunków, przeciwnie, bada je z całą dokładnością i ustala prawdziwe prawa rozwoju. Natomiast „nauka” burżuazyjna używa niemałego wysiłku, aby zatęszować wyzysk, usprawiedliwić nędzę mas ludowych, uzasadnić konieczność wojny i uzależnienia narodów. Za nędzę mas ludowych ponosić ma rzekomo odpowiedzialność prawo zmniejszającej się urodzajności gleby. To nie kapitalizm powoduje przez rabunkową gospodarkę wyjąłowanie setek tysięcy hektarów, lecz „takie już jest prawo natury”. W Indiach jest głód, teoria burżuazyjna tłumaczy: ziemia jest przeludniona i oblicza ile jest „zbędnej” ludności w świecie, a zatem... „wojna jest doskonałym środkiem na rozładowanie nadmiaru ludności”. Niejeden zaś „uczony” burżuazyjny

(Dokończenie na str. 2)



# ROZWÓJ NAUKI

(Dokończenie ze str. 1)

STANISŁAW ARNOLD

# NAUKA HISTORII

(Na I Kongresie Nauki Polskiej)

dochodzi do wniosku, że świat jest w ogóle niezmiernie tajemniczy, naukowo poznać go nie można i zachwała chiromancję, astrologię, jak to uczynił znany J. Huxley w wywiadzie, który się ukazał p.t. „Dr J. Huxley o jogach”.

Całe to śmiecie odrzuca nauka socjalistyczna i naukowo bada społeczeństwo i przyrodę, aby je przekształcać dla dobra ludzkości. Tak więc budowa socjalizmu jest warunkiem rozwoju nauki, głoszącej prawdę, służącą narodowi, pozwalającą budować nowy świat, w oparciu o zdobyte wiedzy. Ale i odwrotnie budowa socjalizmu jest niemożliwa bez potężnego rozwoju nauki. Rozwój nauki jest warunkiem budowy socjalizmu. Teoria marksizmu-leninizmu jest dla nas wskazówką, wytyczną działania. Musi więc ona rozwijać się w miarę zmiany stosunków społecznych i dostosowywać do właściwości każdego kraju. Nie schemata, ale nauka, która uogólnia nowe doświadczenie ruchu robotniczego, walki rewolucyjnej, budownictwa socjalistycznego — tylko taka żywa, twórcza nauka pomaga budować socjalizm i wykonywać wielkie plany.

Plany te wytyczają olbrzymi rozwój sił wytwórczych, uprzemysłowienie kraju, rozwój rolnictwa o partego na technice maszynowej, rozbudowę miast, transportu, łączności. Warunkiem rozwoju sił wytwórczych i nowej techniki jest rozkwit nauk przyrodniczych, matematyki, fizyki, chemii, geologii, inżynierii, biologii itd.

Odbudowujemy i rozbudowujemy piękną socjalistyczną Warszawę, przystępujemy do budowy metra. Iż problemów naukowych muszą rozwiązać w związku z tym nasi uczeni.

Budujemy potężny przemysł, nowe huty, elektrownie, kopalnie, fabryki cementowe, zwiększamy produkcję obrabiarek (dwudziestokrotnie w stosunku do okresu przedwojennego), tworzymy zakłady samochodowe, wielkie zakłady chemiczne, stocznie. Iż nowych problemów staje przed naszymi matematykami, fizykami, chemikami, inżynierami. Nasz przemysł potrzebuje surowców mineralnych — węgla, rud, ropy, soli, — nasi geolodzy mają nie mało roboty przed sobą. Wzrasta z roku na rok nasza produkcja rolnicza i w wyższym jeszcze tempie wymagają rosłać miasta żywności, aprowizacji. Muszą więc nasi inżynierowie dobrze pracować, aby zapewnić polskiemu rolnictwu nowoczesne maszyny, dostosowane do naszych warunków, właściwych nawozów sztucznych, a nasi agrobotolodzy nad wyhodowaniem lepszych odmian roślin i wydajniejszych gatunków bydła.

Walczymy o zdrowie ludności. Iż tu pracy otwiera się przed naszymi uczonymi w medycynie i farmacji. W wysiłkach badawczych, które państwo ludowe otacza specjalną opieką i pomocą, w badaniach, do których włącza się cały nasz świat naukowy zebrany na Kongresie Nauki, możemy oprzeć się na wielkich zdobycach nauki radzieckiej, od której byliśmy przed wojną odcięci.

W Związku Radzieckim w okresach pięcioletek stalinowskich, w trakcie budownictwa socjalistycznego, potężnie rozwinęły się siły wytwórcze, wyrósł ogromny przemysł i nowa technika. Towarzyszył mu niebywały rozwój nauki. Nauka radziecka zajęła już w wielu gałęziach (matematyka, fizyka, astronomia, poszczególne działy techniki, biologia, fizjologia itd.) produkujące miejsce w świecie. W oparciu o wielkie zdobycze nauki i potężny rozwój sił wytwórczych Związek Radziecki podjął obecnie wielkie budowie komunizmu, wykonuje stalinowski plan zalesienia obszarów stepowych i zmiany klimatu, buduje największe w świecie elektrownie wodne, kanały, zbiorniki wody, systemy melioracyjne, zmieniając bieg rzek stosując energię atomową, udoskonala uprawy zbóż i owoców, rozwija potężną gospodarkę hodowlaną, słowem, radykalnie przeobraża przyrodę dla potrzeb człowieka.

Tylko przy ogromnym długofalowym rozwoju nauki można i u nas wykonać Plan 6-letni, przygotować następne plany, stworzyć w Polsce możliwości dla gigantycznych budowli komunizmu. Nauka socjalistyczna nabiera nowych właściwości, których nie posiadała w warunkach kapitalizmu i to właśnie istotnych dla jej rozwoju.

Jest to przede wszystkim ściśle powiązanie nauki z praktyką, z praktyką budowy socjalizmu. Nauka wiąże się u nas z wykonaniem Planu 6-letniego. Jednym z podstawowych zadań Kongresu Nauki jest właśnie zbliżenie nauki do życia. Do zadań Planu. Wyniki badań naukowych zarówno szczegółowych jak i ogólnoteoretycznych muszą znaleźć zastosowanie w praktyce produkcyjnej zakładów przemysłowych, stacji maszynowo-tractorowych, gospodarstw rolnych, szpitali itd. Nauka nie jest bowiem prywatnym zajęciem uczonych, lecz służbą społeczną.

Natomiast nauka w warunkach kapitalizmu często odrywała się od praktyki i głosiła hasła, które przeciwnicy „wznosiła”, „czystą” naukę, jakiejś tam praktyce. Fodam charakterystyczny przykład. W połowie wieku XIX znany fizyk Maxwell udowodnił teoretycznie, że istnieć mogą fale elektromagnetyczne o różnej częstotliwości. Parę dziesiąt lat później Hertz ustalił przy pomocy eksperymentu te fale. Gdy Hertz zapytano o możliwości praktycznego zastosowania jego odkrycia, odpowiedział, że nie widzi żadnego ich praktycznego zastosowania. Tymczasem już kilka lat później inżynier rosyjski Popow zastosował fale Hertza do przekazywania sygnałów na odległość, słowem stworzył podstawy radia, jednego ze wspaniałych wynalazków naszych czasów. Jasne jest, że gdyby teoretycy nie byli tak oderwani od praktyki, gdyby dbali o powiązanie swych teorii i odkryć z praktyką, nie tylko rozwój techniki, ale i rozwój samej nauki odbywałby się szybciej. Praktyka wzbogaca naukę, nauka żyje, pulsuje, rozwija się w powiązaniu z praktyką.

Nauka socjalistyczna, przezwycięża oderwanie teorii i praktyki, które cechowało naukę burżuazijną i przyspiesza ogromnie zarówno rozwój nauk jak też wykorzystanie ich zdobyczy dla dobra człowieka. Nauka socjalistyczna jest planowa. W związku z potrzebami budownictwa ustala się plany badań naukowych, które wytyczają zagadnienia istotne dla rozwoju narodu, gospodarki narodowej i mobilizują uczonych do ich rozwiązania. Nauka socjalistyczna wytwarza wreszcie coraz bogatsze formy kolektywnej, wspólnej pracy uczonych, nieraz z różnych specjalności. Powiązanie z praktyką, planowość, zespoliłość to wszystko potęguje siły nauki i jej rolę w życiu narodu.

Pięknym przykładem jest tu biologia radziecka Mieczurina i Łysenki. Akad. Łysenko poczynił swe wybitne odkrycia w ściśle związanym z potrzebami radzieckiego rolnictwa. Swe odkrycia naukowe sprawdzał początkowo na małych polach, ale zaraz potem setki koleżozów przesyłały doświadczenia na swe pola i same śledziły i sprawdzały wyniki jego metod. Wytworzyła się więc ścisła współpraca uczonych i przodujących cniopów. Podobnie współpracują radzieccy konstruktorzy, fizycy, chemicy z majstrami, racjonalizatorami, przodownikami pracy. I u nas rozwijają się formy współpracy naukowców i praktyków. Odbywają się spotkania i narady profesorów akademii górniczych i robotników naszych kopalń, agrobotolodów i członków rolniczych spółdzielni produkcyjnych.

Do pracy naukowej włączają się w ten sposób majstrowie, technicy, racjonalizatorzy, robotnicy, rolnicy. Mur, jaki kapitalizm budował między nauką a robotnikiem i chłopem, między nauką a narodem rozpada się w gruzu.

Nauka staje się coraz bardziej narodowa, w miarę jak naród nasz przekształca się w naród socjalistyczny.

Narodowa staje się nasza nauka przez to, że służy narodowi, że wszystkie swe siły oddaje Polsce Ludowej, budowie socjalizmu, sprawie pokojowej, tworzyć pracy i obronę pokoju. Narodowa staje się coraz bardziej przez to, że do kadru naszych naukowców wlewa się młodzież z najszybszym mas narodu, z robotników i chłopów.

Narodowa staje się przez to, że w tworzeniu naszej nauki biorą udział nie tylko specjaliści naukowcy ale i specjaliści — robotnicy od warsztatów, od roli. Unarodowienie nauki otwiera przed nią ogromne perspektywy rozwojowe i sprawia że nauka staje się sprawą żywo obchodzącą każdego obywatela. Ta narodowa, bliska ludu nauka nie korzy się już czolobitnie przed obcymi wzorami pochodzącymi z Anglii, Ameryki czy Niemiec, nie patrzy lekceważąco na własną przeszłość kulturalną, tak jak to czyniała nieraz żarząca kosmopolityzmem nauka międzywojenna. Pełna poczucia swej wartości i wielkiej roli w życiu narodu nauka nasza z miłością sięga do przeszłości narodu, do naszych postępowych tradycji, do Kopernika i Kołłątaja do Staszcza i Marii Curie-Skłodowskiej.

Nauka nasza wypisuje na swym szlendarze słowa Stanisława Staszcza, wypowiedziane w r. 1814 na posiedzeniu założonego przezeń Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

„Umiejętności dopotąd są jeszcze próżnym wynalazkiem, może czczym tylko rozumowi wywodem, albo próżniwą zabawą, dopokąd nie są zastosowane do użytku narodu. I uczeni potąd nie odpowiadają swemu powołaniu, swemu w towarzystwach ludzkich przepraczeniu... dopokąd ich umiejętnościom nie nadają fabrykom i rękodzielnom — oświecenia, ułatwień, kierunku postępu”.

Czesław Nowiński  
(fragment z publicznego odczytu urządnego staraniem Tow. Wiedzy Powszechnej)

**I** Kongres Nauki Polskiej to wielki, przełomowy etap w rozwoju naszej nauki. Dokonamy na nim dokładnego obrachunku naszych pasywów i aktywów, poddamy gruntownej krytycznej analizie nasz dotychczasowy dorobek, zbadały jego wartość naukową z punktu widzenia jednolitej naukowej podstawy metodologicznej — marksizmu-leninizmu, ocenimy jego znaczenie w naszej wielkiej pracy: budowie socjalizmu, — i odrzucając to wszystko, co było w nim wstecznego, szkodliwego, wrogiego — wydobędziemy wszystkie elementy myśli postępowej, ustalimy drogę, po której winna dalej rozwijać się nauka polska, związana najsłabszymi więzami z wielkimi zadaniami, jakie stoją przed Polską Ludową i biorąca najbardziej czynny udział w ich realizowaniu.

Rzecz jasna, że ten nowy etap w rozwoju naszej nauki ma szczególniejsze znaczenie dla nauki historycznej, jako nauki, która ma spełniać poważną rolę w kształtowaniu się nowej świadomości społecznej, świadomości socjalistycznej. Burżuazyną historiografią polską, stojącą na gruncie obrony interesów klas posiadających, państwa burżuazynno-obszarniczego, jego polityki wyzysku i ucisku, zatrudniona umysłem społeczeństwa polskiego haszyszem rzekomo naukowego, a w gruncie rzeczy zdecydowanie antynaukowym, fikcyjnym i fałszywym odtwarzania przeszłości. Metodologiczne podstawy tej historiografii wiodły ku agnostycyzmowi w zakresie poznawania historycznego, ku zaprzeczaniu wszelkiej prawdziwości w procesie historycznym, wszelkiego postępu. Starła się ona zakorzeniec i utrwalił przekonanie, że podstawy ustroju kapitalistycznego opierają się na „przyrodzonych” „człowiekowi, trwających stale, niezmiennych właściwościach psychiki ludzkiej i instynktach, które

tym właściwościami odpowiadały. Wynikało stąd szczególniejsze zjawisko ahistorycyzmu — właśnie u historyków! Ale już ten sam fakt stwierdza najdobitniej, jak nikt było podstawą naukową tych „naukowych” badań.

Wąsko-klasowe stanowisko burżuazynnej historiografii Polski znajdowało swój wyraz w nacjonalizmie, w klerykalizmie, w kosmopolityzmie — tych wszystkich haszyszach, z których pomocą klasy panujące starały się odrzuć masy pracujące i utrzymać je w „posłuszeństwie”. Dlatego też historycy burżuazynni w swej olbrzymiej większości unikali problematyki, która by zatrącała o historię walki klasowej robotników lub chłopstwa, która by mówiła o roli mas w przeszłości, o idealach postępu w przeszłości i walkach o ich realizację. Fałszowano proces historyczny zacieraając, zamazując w nim walkę klasową klas wyzyskiwanych, aby znaleźć w ten sposób uzasadnienie dla jeszcze jednego haszyszu, potrzebnego dla utrwalenia władzy klas posiadających — mianowicie solidaryzmu.

Związani z klasami posiadającymi — historycy polscy byli całkowicie oderwani od mas ludowych od dażeń i marzeń tych mas, od stałej, uporczywej, wciąż narastającej walki o wyzwolenie społeczne, jaką te masy toczyły.

Wobec tego charakteru i roli historiografii burżuazynnej — przed historykami polskimi w Polsce Ludowej stanęły dwa poważne zadania: podjąć walkę z tym, co istniało w świadomości szerokiej masy jako wynik tyloletniego wpałania po przez szkołę, pracę, literaturę popularną fałszywych obrazów przeszłości — oraz przystąpić do nowych prac badawczych, opartych na założeniach marksizmu-leninizmu, prac które dalyby wreszcie istotnie naukowe wyjaśnienie polskiego procesu historycznego.

W tych dwóch kierunkach szły prace postępowych historyków Pol-

ski w okresie przygotowawczym do I Kongresu Nauki Polskiej. Zadania ich zostały wyraźnie ustalone w obecnym etapie umacniania się frontu narodowego w Polsce, przekształcania się narodu polskiego w naród socjalistyczny. Wskazania, jakie dał w swym przemówieniu na 6 Plenum KC PZPR Prezydent Bolesław Bierut, pozwalają historykom polski na jasne określenie drogi dalszego postępowania. Szczególnie ważne są postulaty, wiążące się w należytym postawieniem przedmiotu badań, tj. samego procesu historycznego. Dając obraz rozwoju narodu polskiego w całej pełni procesu dziejowego, badanego na podstawach marksizmu-leninizmu, a więc w warunkach walki klasowej w okresie feudalizmu i kapitalizmu, badając cechy prawdziwości tego procesu a zarazem specyficzne cechy rozwoju bazy i nadbudowy — historycy polscy winni wydobycie także i to, co tak celowo było usuwane w cień albo wprost zacierane — mianowicie głęboki patriotyzm klas wyzyskiwanych, przeciwstawiający się egoizmowi klas posiadających oraz internacjonalizm, przeciwdziałający się kosmopolityzmowi i nacjonalizmowi zaprzaństwa i zdrady narodowej. Badania historyczne winny przedstawiać istotny udział robotnika i chłopca w polskim procesie historycznym, jako procesie walki o wyzwolenie społeczne, łączących się w naszym procesie dziejowym wieku XIX i XX z walkami o wyzwolenie narodowe, które dzięki Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, dzięki rozgromieniu hitlerowskiej faszyszu przez Związek Radziecki — doprowadziły do pełnej wolności społecznej i narodowej.

Oświecenie tych walk musi iść w parze z wydobyciem wszelkich elementów postępu w przeszłości, musi ujawnić to, co się wiąże z pięknymi tradycjami naszej historii, a co może być silnym powodem naszej dumy narodowej jako narodu budującego socjalizm. Jedno-

ceśnie z tym — i w związku z tym — historycy muszą wydobywać, demaskować, przyglądać wszystkie kłamstwa i fałszywe zarówno dawnej historiografii burżuazynnej, jak i obecnym imperialistycznym fałsyfikatorów historii i ich agentów, demaskować także wroga dla narodu polskiego, dla jego bytu politykę państw imperialistycznych w przeszłości i obecnie.

Powyższe zadania znajdują głęboki wyraz w pracach Kongresu Nauki, zarówno w dyskusjach dotyczących się zasadniczej problematyki, jak i w związku z opracowaniem form, dróg i możliwości praktycznego ich wykonania. Trzeba stwierdzić, że istnieją dzisiaj wszelkie obiektywne przesłanki, a w szybkim tempie dojrzewają przesłanki subiektywne, aby nakreślone wyżej zadania zostały wykonane. Większość naszych historyków stoi dziś zdecydowanie na gruncie nowych założeń metodologicznych i wciąż wzrastającą ilość naszych uczonych, porwana przez rozmach budownictwa socjalistycznego, przez ogromne możliwości, jakie otwiera o przed nauką historyczną, wiąże coraz ściślej swą pracę naukową, pedagogiczną, oświatową z potrzebami życia, staje ideologicznie na nowym stanowisku. Dlatego już dziś można zarejestrować szereg poważnych osiągnięć w naszych pracach historycznych. W oparciu o założenia marksizmu-leninizmu, mając olbrzymią, niezawodną pomoc przodującej nauki radzieckiej, historycy polscy mają zamiar wyjść z Kongresu z pierwszym ogólnym planem badań naukowych w zakresie historii, jako zasadniczym elementem, włączającym polską naukę historyczną w Narodowy Plan 6-letni — a tym samym — w potężny nurt budownictwa socjalistycznego w Polsce. W służbie mas pracujących — nauka historyczna polska wejdzie zdecydowanie na drogę badań istotnie naukowych, istotnie postępowych, istotnie twórczych.

Stanisław Arnold.

IRENA MATYSIAK

## Z DNI ODBUDOWY

staje uruchomiona — „Mirków ruszył”.

Kampania produkcyjna nie przestonia Zesławskiemu politycznemu oblicza dokonujących się w Polsce procesów budowy nowego ładu społecznego. Książka dała właściwą, klasową interpretację zachodzących przemian, pokazała główny front walki, zdemaskowała i po imieniu nazwała wroga. Jest nim zarówno były właściciel mirkówskich zakładów Tokarski, który zażyczył poważną pozycję w układzie po wojennych stosunkach, usiłując unicestwić wysiłki Mirkówiaków, opóźnić uruchomienie ich fabryki przez odwołanie złożonych przez nich terminowych zamówień na maszyny, jak i spekulant — popollyty przedstawiciel drobnoemczaństwa, który łapówka, wódka, pogroźka wreszcie, stara się zweekować świadomość robotnika na tory słuźenia jego prywatnym interesom.

Na trafnie dobranych przykładach pokazana została walka z burokracją, groźnym reliktem ustroju kapitalistycznego, który opóźnia i utrudnia pracę ludowego państwa. Zagadnienie walki klasowej, ustawione w założeniu słusznie, zostało jednak poprzez nie zawsze adekwatną transpozycję artystyczną osławione i zbagatelizowane — wróg klasowy, mimo iż wszędzie wy suwa swe macki, pozwala się bardzo łatwo unieszkodliwić, jest zlekąniony i słaby. Takie rozwiązania zagadnienia poważnie nadwężają artystyczną prawdę powieści; rekonstruują ją rozległość spojrzenia autorskiego, spojrzenia, które widzi sytuację w skali ogólniejszej niż interesy mirkówskiej fabryki, w skali ogólnokrajowej, co pozwala konstantować, że nie we wszystkich fabrykach i nie od razu inicjatywa przeszła w ręce robotników. Oddziaływanie robotniczego kolektyw Mirkowa na zewnątrz, przenoszenie swych osiągnięć na teren innych fabryk, z którymi się kolektyw styka, wola Partii jako czynnika inicjującego i koordynującego pracę kolektywu przedstawione zostały w książce Zesławskiego przekonywająco, i to jest niewątpliwie jej osiągnięciem.

Książka Zesławskiego odrzucała tradycyjny schemat powieściowy, w którym pierwszą przyczyną, inicjatorem wszelkiej akcji był zawsze inteligent. Zerwanie z fałszywą ideologiczną konwencją pozwoliło Zesławskiemu bohaterem swej książki uczynić prawdziwego robotnika, pozwoliło na taką organizację materiału, która w centrum książki, zgodnie z życiową prawdą postawiła klasę robotniczą. Inteligent inżynier zostaje w nowe budownictwo włączony dzięki twór-

czej, rewolucyjnej postawie robotnika, a nie na odwrót. Entuzjazm i twórczy optymizm jakim odbarzył autor swój powieściowy pozytyw, nie zepchnął Zesławskiego — jak się to często dzieje — na niewygodną dla obiektywnej analizy pozycję zachwytu. Przeciwnie — pozwoli mu dokonać przeglądu siły. Autor w trudnej sytuacji nie waha się pokazać niedociągnięć i załamień. Obok zwycięskiej choć na tym etapie nie całkowicie jeszcze rozprawy z elementami wrogimi widzimy ciągle przezwyciężanie własnych ograniczeń, ciągle wzmacnianie swych pozycji, widzimy jak w trudzie walki kształtuje się nowy, socjalistyczny stosunek do pracy. Sprawą centralną książki jest ustalenie problematyki po linii tworzenia nowego, socjalistycznego społeczeństwa przez świadomych i uświadamiających się w toku walki gospodarzy kraju — robotników. Sprawa w zasadzie prosta, ale jak wykazały doświadczenia trudna w transpozycji artystycznej ze względu na ogrom materiału, na złożoność procesu, na nawarstwianie się różnorodnych

spraw i ich wzajemne zaciębnienie się.

Nie wszystkie trudności pokonał autor-debiutant. Uderzają naiwności formalne, uderza szablonowość i schematyzm postaci powieściowych, brak pogłębienia ich rysunku psychologicznego, powierzchowność w obrazowaniu skomplikowanych procesów świadomości. (Przystąpienie do partii Bronki Adamkowej, czy inż. Wojdyny). Dlatego książka Zesławskiego nie jest jeszcze powieścią o wielkich dniach przejmowania przez klasę robotniczą władzy w nowej ludowej Polsce. Nie potrafiła ukazać ani patosu, ani skomplikowanych konfliktów tego trudnego czasu w świadomości swych bohaterów. Posiada jednak niewątpliwie wartość jako próba ocalenia dla pamięci społeczeństwa heroicznego wysiłku załóg robotniczych, które podejmują się wśród niesłychanych trudności uruchomienia zniszczonych zakładów, położyły fundamenty dla dzieła wielkiej przebudowy naszego życia.

Irena Matysiak

## PRASA POKOJU

**K**IEDY mówimy o mobilizującej i wychowawczej roli gazety i dziennikarza, specjalnie jak skrawo wydawnictwa się kontrast między „wzorzą” i „dzis” prasy polskiej, na przykładzie toczony przez nas wielkiej kampanii pokojowej. Jaką bowiem rolę wykonywała gazeta w sanacyjnej Polsce? Pamiętajmy jeszcze ohydną nagonkę całej, łącznie z PPS-owskim „Robotnikiem”, prasy polskiej na Czechosłowację. Wiemy kto za to pisał: polska burżuazja, niemiecki wiad i polska „dwójka”.

Pamiętamy nagonkę na Francję w okresie zwycięstwa Frontu Ludowego, szkalowanie republikańskiej Hiszpanii, czy wreszcie podsypanie nienawiści do Żydów, Litwinów, Ukraińców i Białorusinów. A nade wszystko pamiętamy dobrze ten zgrany, ponury chór od „Narodowego Dziennika Warszawskiego”, od „Młodego Dziennika” i „Palangi”, poprzez „Gazetę Polską” i „IKC” aż do „Dziennika Ludowego” — p. Zaremby, chór głoszący antyradycką krucjatę.

Kogo zaś chwaliła, komu kadziła polska gazeta przedwojenna? Mussoliniego i Hitlera, Franco i cesarza Hirohito, Horthy’ego i Codreaanu, wodzów państw faszystowskich, zbrodniarzy i szaleńców, którym kapitał międzynarodowy dał broń do ręki. Ta broń miała zniszczyć ZSRR. I stąd peany w polskiej prasie przedwojennej. Ale ta broń zniszczyła też — 6.000.000 Polaków. Dlatego tak jasno, tak przeróżnie wyraźnie widać zdradziecką, anty-

narodową postawę prasy polskiej burżuazynnej.

Zdradziecką i antynarodową, bo walcząca przeciw pokojowi, bo słęcząca nienawiść do innych narodów, bo gloryfikująca morderców i podżegaczy wojennych.

Wzmyśd do ręki gazetę wychodzącą w Polsce Ludowej, w roku 1951, siódmym roku Wolności, drugim Planu Sześcioletniego. W roku, w którym plonie podpalona przez imperialistów Korea, w którym na Zachodzie szaleje Eisenhower, odbudowując hitlerowski Wehrmacht, w roku, w którym pp. Atille, Schuman i Acheson atakują nasze granice zachodnie.

Czy znajdziemy na szpaltach gazetę szczuciej przeciw ludowi amerykańskiemu, angielskiemu, francuskiemu czy niemieckiemu, czy dojdzie Was, spośród czarnych wierszy artykułów, dźwięk pobrząkująca szabelką, odgrzania się innym narodem?

Nie — znajdziemy tam szacunek, miłość i braterstwo dla wszystkich ludów, wszystkich narodów świata. Bo też — my wiemy, że one są z nami, że myślnie tak jak my. że jak my nienawidzą imperializmu i wojny, że razem z nami walczą o Pokój.

Najczestszym słowem naszej prasy jest Polok. Piękne, skrzydlate, porównując słowo. Tym słowem wiążą się u nas robotnicy w wielkich budowach, naukowcy w laboratoriach, zakochani w wiosenne wczesno, to słowo, jak szlendar wznoszą do góry pisarze i poeci.

Kawes

\*) Władysław Zesławski — „Mirków ruszył” — Czytelnik — Warszawa — 1950.

# ARMIA WYZWOLENIA



STEFAN STEPIEŃ

## PRZESTROGA HISTORII

Dziesiąta rocznica zbrojeckiego napadu hord hitlerowskich na Związek Radziecki przypomnieliśmy całemu światu, a zwłaszcza krajom demokracji ludowej, które Armii Czerwonej zawdzięczają swe wyzwolenie społeczne i narodowe, ile ludzkość cała i masy pracujące całego świata zawdzięczają bohaterstwu Krajowi Rad, partii Lenina — Stalina i genialnemu organizatorowi zwycięstwa nad zbrodnianym faszyzmem hitlerowskim — Józefowi Stalinowi.

Geneza całej drugiej wojny światowej i napad Hitlera na Związek Radziecki jest już dziś całkowicie wyjaśniona i nie budzi żadnych wątpliwości.

Pełna odpowiedzialność za drugą wojnę światową obciąża monopolistów finansowych anglo-amerykańskich i ich wasali i współników, którzy zaślępieni w swej nienawiści do kraju zwycięskiego socjalizmu ZSRR, poparli odradzający się militarizm niemiecki, łudząc się, że silami osi Berlin — Rzym — Tokio potrafią dokonać tego, czego nie udało im się zrealizować w latach 1917 — 1921 w latach pierwszego najazdu kapitalistycznego na Kraj Rad — a więc wykresić z mapy świata pierwsze w dziejach ludzkości państwo robotników i chłopów.

„Revolucja Październikowa zadana kapitalizmowi światowemu — mówił Stalin — śmiertelną ranę, z której nie wyleczy się on już nigdy. Właśnie dlatego kapitalizm nigdy już nie odzyska z powrotem tej „równowagi” i „trwałości”, jakie posiadał przed Październikiem. Kapitalizm może częściowo ustabilizować się, może zracjonalizować swoją produkcję, oddać rządy krajów faszyzmowi, zniechęcić chwilowo klasę robotniczą, lecz nigdy nie odzyska z powrotem tego „spokoju” i tej „pewności siebie”, tej „równowagi” i tej „trwałości”, jakimi cieszył się dawniej, abowiem kryzys kapitalizmu światowego doszedł do takiego stopnia rozwoju, kiedy plomienie rewolucji nieuchronnie muszą wybuchać bądź w ośrodkach imperializmu, bądź też na peryferiach, obracając winiec kapitalizm z łataniną i z każdym dniem czynią bliższym upadek kapitalizmu.

I stąd ta nienawiść kapitalistów i wyszyskiwaczy wszystkich krajów do Związku Radzieckiego, który hasła Rewolucji Październikowej zamienił na rzeczywistość.

Ale w tej swojej nienawiści i wynikającym z niej awanturnictwie wojennym imperialiści anglo-amerykańscy, z charakterystyczną dla ginących klasy krótkowzrocznością przecenili siłę i możliwości świata kapitalizmu, i nie docenili siły i możliwości rozwoju świata socjalizmu.

I dlatego ta druga próba zbrojnego obalenia władzy radzieckiej zakończyła się jeszcze bardziej sromotnie niż pierwsza próba niestawnej interwencji w latach bezprecedensnego następnego do Wielkiej Rewolucji Październikowej.

Kapitulacja faszyzmu niemieckiego i japońskiego pod ciosami bohaterskiej Armii Czerwonej umożliwiła pełne wyzwolenie społeczne i narodowe 600 milionów ludzi żyjących w 11 państwach Europy i Azji.

Wspaniałe zwycięstwo Kraju Rad, będące skutkiem wyższości całego ustroju socjalistycznego, jego PLANOWEJ GOSPODARKI, BRAKU wewnętrznego SPRZECZNOŚCI KLASOWYCH I NARODOWOSCIOWYCH, rozsądających od wewnątrz kraje kapitalistyczne, oraz przedziwnej, nieznannej dotychczas w dziejach ludzkości JEDNOŚCI POLITYCZNO — MORALNEJ woli narodów radzieckich — rozbiły ten mur kłamstwa i oszustwa wzniesiony przez tyle lat wokół pierwszego w świecie państwa socjalizmu.

To zwycięstwo, jak również wspaniałe wyniki pokojowego budownictwa w ZSRR, oraz przy jego pomocy i burzliwy rozwój gospodarki i kultury krajów demokracji ludowej dowiodły masom pracującym całego świata, a zwłaszcza ludom kolonialnym eksploatowanym przez drapieżny i bezwzględny międzynarodowy kapital finansowy, że świat bez wojen, podbojów, ucisku, wyzysku, ciemnoty i nędzy — to nie marzenie nie do zrealizowania, ale

rzeczywistość JUŻ ZREALIZOWANA w ZSRR, a MOŻLIWA DO REALIZACJI na obecnym etapie rozwoju ludzkości na całej kuli ziemskiej.

Druga wojna światowa przyniosła więc ogromny wzrost siły, znaczenia w świecie i autorytetu Związku Radzieckiego, który przez miliony ludzi na całym globie ziemskim uznany został za główną ośrodek pokoju i postępu w świecie i główne obronę narodów przed ludobójczymi planami imperialistów i podżegaczy wojennych.

Takie to niezamierzone przez kapitalistów, ale jakże zgodne z prawami rozwoju społeczeństw ludzkich (które skazują na bezpłodność wszelkie wysiłki ginących klas) przyniosła od wielu lat planowana i przygotowywana a rozpoczęta 22 czerwca 1941 r. napad na Związek Radziecki.

Z tej niedawnej lekcji historii płynie groźne ostrzeżenie dla obozu imperialistycznego, którego historia wojenna wzrasta w miarę wzrostu siły Związku Radzieckiego, zwycięsko realizującego budowę komunizmu, w miarę niepowstrzymanego rozwoju krajów demokracji ludowej i umacniania się światowego obozu pokoju z jego trzonem — partiami robotniczymi i komunistycznymi całego świata.

Oddźwięk z jakim konstrukttywne propozycje radzieckie, gwarantujące utrzymanie pokoju przyjmowane są przez niezależną opinię publiczną całego świata, wbrew wykrętniej polityce rządów kapitalistycznych, przebieg plebiscytu pokoju w wielu już dziś państwach, wyniki wyborów we Francji i we Włoszech, klasa polityczna, poprzedzająca ostateczną klasę militarną agresorów amerykańskich i ich wasali w Korei — wszystko to wskazuje jak rosną siły i wola zwycięstwa proletariatu, jak coraz więcej realnych i ważkich sił społecznych przechodzi z pozycji rezerwy kapitału na pozycję rezerwy proletariatu, jak tym samym rosną i siły obozu postępu i pokoju, które coraz skuteczniej obracają w niwecz plany imperialistów i podżegaczy wojennych.

„Pokoje będzie zachowany i utrwalony — wskazuje Stalin — jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę zachowania pokoju i będą bronili jej do końca”.

Naród nasz, pod przewodnictwem klasy robotniczej i jej Partii kroczy zdecydowanie po tej drodze wskazanym przez Stalina, realizując wielki 6-letni Plan pokojowego budownictwa, walcząc w ścisłej łączności z całym światowym ruchem obrońców pokoju o pokrzyżowanie planów imperialistów i podżegaczy wojennych.

Przez 10 lat, które upłynęły od 22 czerwca 1941 roku zmieniła się zasadniczo sytuacja i układ sił w świecie. Związek Radziecki dzięki wspaniałemu swym osiągnięciem gospodarczym i kulturalnym stał się najpotężniejszym państwem na świecie, realizującym dziś wielkie dzieło przeobrażenia przyrody i całej bazy ekonomicznej — technicznej swego kraju, zajmującego zostając część wszystkich łądów świata, dla zbudowania ustroju komunistycznego. Pomyślnie i szybko w przeciwieństwie do drepcących w miejscu lub cofających się krajów kapitalistycznych, rozwija się gospodarka i kultura krajów demokracji ludowych.

Wyzwolenie Chin, powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, spotęgowanie się walk narodowo-wyzwoleńczych na Korei, w Wietnamie i na Filipinach, wzrost nastrojów rewolucyjnych zarówno w krajach Europy Zachodniej (zwłaszcza we Francji i Włoszech), jak i w krajach kolonialnych i półkolonialnych (Iran), masowy rozwój ruchu obrońców pokoju — wszystko to niepomnie umacnia obóz pokoju i demokracji, a podważa u samych podstaw istnienie kapitalizmu. Dlatego narody świata pragnące pokoju z otuchą spoglądają w przyszłość, wiedząc, że jak mówił Stalin: „pokoje będzie zachowany i utrwalony, jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę zachowania pokoju i będą jej bronili do końca”.

Stefan Stepień.

Stanisław Majcher.

### REKA OD PŁUGA...

...Wspomnienie to kreślę ręką twardą od pługa, aby świadomość naszej wdzięczności nie zatarta się w umysłach naszych.

My, Polacy, szczególnie powinniśmy być wdzięczni bohaterstwu i niezwykłej Armii Radzieckiej, która w imię wolności narodów, poświęciła swych synów i zrosiła obficie swą krwią ziemie nasze, aby nas wybawić od całkowitej zagłady.

Bratni nasz naród radziecki z genialnym Wodzem Józefem Stalinem na czele, uzbrojony w miłość do swej socjalistycznej Ojczyzny, rzucił się jak lew na wroga pod Stalingradem...

Dla nas, Polaków, była to błoga chwila, gdy nadzieja wracała nam do serca.

Bośmy dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że jak nie przyjdzie wybawienie od wschodu, to skądinąd spodziewać się go nie można...

Partyzantka nasza przygotowuje plany działania, aby jak najszybciej wziąć wroga w krzyżowy ogień i przepędzić go, gdyż żołnierze zdorientowani nie jest zdolny do skutecznego oporu. Mądre i rzeczowe było działanie naszej partyzantki z partyzantką radziecką. Faktem jest, że kolonie rzeszowskie oraz lubelskie zostały wybażone ponad wszelkie oczekiwania; Niemcy uciekali stamtąd bez czapki i ryzostunku, gnani ogniem, a szczególnie prężni ogniem z „Katuszi”.

Sliczny sierpniowy dzień 1944 roku, to dzień, w którym zobaczyliśmy pierwszych żołnierzy radzieckich.

Celina Jasińczyk

### WSPOLNA JEST NASZA SPRAWA

Na wzgórzu stoi żołnierz hitlerowski ubrany na białe. Przyłożył lornetkę do oczu i długo patrzył na wschód. Nagle drgnął. Naciągnął kaptur na głowę, rękawice na ręce i na pół biegnąc podążył na zachód...

...W tej chwili w oddali zamajaczyły ciemne punkty. Przyśpieszyłam kroku, by czym prędzej dobiec do domu, gdy wtem rozległ się głosny tętent konia i nim zdążyłam się odwrócić, drogę zajął mi jakiś jeździec.

— Panienko, czy tu są germańcy? — zapytał...

...W tym czasie nadjechało więcej żołnierzy... Jak urzeczona obserwovalam ich z boku.

...Ojciec, szukając w swym słowniku dość serdecznych słów powitania, wybiegł naprzód, wołając: „Zdrowstwuje gaspadi!” Rozpromieniła się twarz oficera, w szczerym uśmiechu błysnęły białe zęby, skoczył z konia: „Już nie gaspadi, lecz towarzysz! To-warzysz!” — powtórzył dobitnie. W serdecznym uścisku zwarły się ich dłonie. A my zrozumieliśmy, że w tym jednym słowie „towarzysz” otwiera się przed nami całkiem nowe życie, nowa era! Czuliśmy, że tych ludzi, którzy przybyli z daleka, łączy z nami walka o wspólną sprawę.

Zenon Pastuszko

### BY ROBOTNIK I CHŁOP MOGŁ TWORZYĆ NOWY ŚWIAT

Wydostałszy się z tłumu ludzi wyciągnąłem rękę po gazetę. Otrzymałem ich kilka. Na pierwszej stronie lubelskiego „Głosu Ludu” widniał dużymi literami napis podkreślony czerwoną farbą; musiało to być bardzo ważne, więc zaraz wysylabizowałem:

„Walki na przedpolach Warszawy, ofensywa trwa. Dziś wyzwolono Radom, Ostrowiec i ponad dwieście innych miejscowości. Wojska radzieckie i polskie prą na Berlin!”

Byłem wprost oszołomiony radością, nie pamiętam do dziś, jak znalazłem się w domu.

Artyleria waliła już coraz dalej i ciągle dalej. Nastroj wśród ludzi był jakiś inny, radosny. Dni wyzolenia nakazywały nam szybko zacierać ślady wojny, zagospodarowywać kraj zniszczony wojną i okupacją.

— Jutro będą przeprowadzać reformę rolną w okolicznych wsiach

— zagadnął ojciec do sąsiada... — Trzeba zakończyć ją jeszcze przed wiosennym siewem.

— Wielkie przemiany społeczne dokonane w naszym kraju dzięki Armii Radzieckiej muszą być należycie wykorzystane dla nas, robotników i chłopów.

I wszystko poszło tym trybem. Wszędzie powstawały Rady Narodowe (terenowe władze ludu), tworzyły się szereg Milicji Obywatelskiej, aby robotnik i chłop mógł spokojnie tworzyć nowy świat. Każdy rok pracy przynosił nowe sukcesy, nowe osiągnięcia, z których jesteśmy dumni. Dzisiaj, chociaż walczą maszyny, dymią kominy fabryk, a na polach coraz więcej jest traktorów, myśli nasze jednak biegną do chwili styczniowej i wyzwolenia, usta niemal że same powtarzają, że gdyby nie zwycięska ofensywa Armii Radzieckiej, nie byłoby tych osiągnięć.

Stefan Jacorzyski

### FABRYKA RUSZA

O godzinie 10.15 huk wstrząsa najbliższą okolicą. To Niemcy wysadzili most na rzece. Wychodzimy z kryjówki. Most wyleciał w powietrze, więc ostatnie patrole niemieckie przeszły. Za godzinę — dwie zobaczymy pierwsze oddziały polskie lub sowieckie. Grupami gromadzimy się na ulicy.

Jest godzina 12.30. I nagle! Z bocznej uliczki wysuwa się kilkunastu chłopów. Każdy z karabinem w ręku gotowym do strzału. Poznaliśmy ich. To żołnierze Armii Czerwonej. Idą roześmiani, żywo coś opowiadają. Na czele wesoły, może osiemnaśletni zawodzaka z orderem na piersi i oznaką sierzanta na ramionach, z szerokim uśmiechem na ustach. Wyrzywa się nam westchnienie ulgi. Skończona niewola. Skończony strach przed bardeerowcami, SS i gestapo. Jesteśmy wolni.

— Coż, Fryców tu nigdzie nie ma? — Nie, nie ma. — Sierżant wchodzi do mego mieszkania, rzuca okiem na otwartą książkę. — Wy Polak? — Tak. — No to tu Fryców nie ma. Dajcie wody. My druchy. — Podaję wodę. Pytam, czy nie jest głodny.

— Nie, jedliśmy przed szturmem. — O godzinie 15.30 przed fabryką zajeżdża wojskowy samochód, z którego wysiada dwóch sowieckich oficerów. Po chwili przybiega robotnik i wyzywa mnie do wnętrza budynku. Jeden z oficerów zwraca się do mnie:

— Pracowaliście tutaj? — Tak. — Wasza narodowość? — Polak. — Jaką pełniliście funkcję? — Byłem magazynierem. — Wasze wykształcenie? — Pedagogiczne. — No, to spodziewam się, że potrafić poprowadzić fabrykę. Wiem, że jako Polak staniecie uczciwie do pracy. Fabryka musi pójść jak najrychlej. Jutro o dziesiątej przyjdziecie do magistratu na wspólną naradę. Już dziś angażujemy robotników i zabezpieczacie pozostały majątek.

Podajemy sobie ręce.

Zgromadzeni robotnicy owacyjnie przyjmują decyzje oficera i obiecują uzyskać jak najlepsze wyniki w produkcji. Słowa, dotrzymał. Zaním skończyła się wojna, zdobyliśmy przechodni sztandar za przedterminowe uruchomienie fabryki i wyjście pracy.

Podajemy sobie ręce. Zgromadzeni robotnicy owacyjnie przyjmują decyzje oficera i obiecują uzyskać jak najlepsze wyniki w produkcji. Słowa, dotrzymał. Zaním skończyła się wojna, zdobyliśmy przechodni sztandar za przedterminowe uruchomienie fabryki i wyjście pracy.

Leokadia Kasze

### PIERWSE SPOTKANIE

Przychodzą oficerowie. Jeden z nich najstarszy rangą utyka na nogę. Jest wysoki i jasnowłosy. Ma subtelną twarz, o mądrych szarych oczach.

Przyglądam się mu z niekłamną ciekawością. Na powitanie podają nam ręce. Siadają. Po chwili jesteśmy przyjaciółmi. Któryś przynosi dwie świece i zapala. W pokoju robi się widno i wesoło. Rozwijają z papieru słonecznik, kroją w kawalki i częstują. Chcemy wyjść do drugiego pokoju, aby oficerowie mogli się położyć. Proszę, żeby nie odchodzić, bo i tak spać nie będą.

— Daleko Berlin? — Nachylieni nad mapą obliczamy kilometr.

— Daleko — odpowiadają. — Ale zaraz machają bez troski rękami, co oznacza, że to dla nich nie ma znaczenia. Daleko czy blisko — oni i tak tam będą.

— Doczka — mówi oficer i kładzie dłoń na głowie dziewczynki.

Potem porywa chłopca i podnosi go wysoko w górę. Jestem przygotowana na to, że malec rozpocznie wrzask. Ale nic podobnego. Macha bosymi nóżkami i śmieje się. Kiedy leży znów w łóżeczku, wyciąga rączki i woła: — Jeszcze!

— U mnie taki sam w domu — powiada oficer. — A wasz mąż?

— Poszedł z wojskiem w 1939 i nie wrócił.

— A to zapewne z nami, z nami mnogo waszego luda.

Chwyta czapkę z czerwoną gwiazdą i mówi:

— Tu wasz żołnierz ma polskiego orla. Wy i my razem.

Ujmuję moją dłoń i potrząsa nią.

— Nie smuć się, wasz mąż wróci...

Tadeusz Siderowski

### JASNOWŁOSA Z CZOLGU

Hitlerowcy zabrali mnie do Chełma i wsadzili do więzienia, uważali bowiem, że mogę być szkodliwy na posadzku pocztowca, a w więzieniu będę napewno nieszkodliwy. Mieli nas wycieść dalej lub rozstrzelać, ale do tego już nie doszło. Wojska radzieckie deptyły im po piętach. Miałem głowę pełną czarnych myśli, tak czar-



Juliusz Krajewski

Na lubelszczyźnie w 1944 r.

nych i ciemnych jak krata więzienia i ściany izby, w której czekałem na śmierć. Z ulicy dolatywały mnie gwary i strzelanina. Sądziłem, że lada chwila przyjdą po mnie i rozwalą. I los mój przyszedł. Ale o dziwo — nie był to gestapowiec z nahajką i rewolwerem w ręku, lecz miła uśmiechnięta dziewczyna o jasnych, roztrzepanych włosach i oczach niebieskich.

— Panie, wychodź z ciemnicy, Niemców już niema, jesteś wolny, my wynagliśmy faszyzów. — Na dworze jasnowłosa powiedziała: — Jestem Galina, telegrafistka z czołgu.

A po chwili dowiadywała się ciekawie, gdzie jest mój dom. Powiedziała, uczeszyła się i zawołała: — My też pojedziemy, bo tamteży nasza droga! Zabiorę Was do Waszego domu i rodziny, żebyście już nie tęsknili.

Jechałem więc czołgiem do Zabródzia z jasnowłosą. Wojska radzieckie zatrzymały się na jakiś czas w naszych stronach. Dziewczyna opowiadała mi o swojej ojczyźnie, a ja o naszym życiu. Zaprzyjaźniliśmy się.

Wreszcie wojsko opuściło Zabródzie, poszło dalej ściegą wroga. Wraz z wojskiem odjechała jasnowłosa dziewczyna z Kaukazu. A ja zostałem i w ciągu tych wszystkich lat wspominam ją z rozrzewaniem. Pamięć o niej wzmagą we mnie chęć budowania szczęścia mojej ojczyzny.

Jan Wróblewski

### BYŁE DO SWOICH

Już od trzech dni słysząc głuchy huk. To grają „Katusze”. W powietrzu czuć swąd prochu i mldący zapach krwi. Z polowego lazaretu dobiegają skamłające jęki rannych hitlerowców.

Nad samym wieczorem, opodał pod wzgórzem ustawiają działo. Pada charchąca komenda oficera. Pociski jeden za drugim ze złowrogim wyciem zrywają się w pobliskim lasku. Tam już nasi. Wokół pioną krwawe podchodnie ciężarnych stodoł — a w nich całoroczna praca.

O jedenastej ucisza się.

Kocieba idzie do chaty. Na ławach siedzą: Walenty, Orłowski i Orpik sprzecząc się o szarę w wojsku radzieckim. W kącie na stonie śpią dzieci, a stara Wojciechowska przebiera paciorki różańca.

Co jutro przyniesie? Czy wszyscy będąśmy żywi i wolni? Przecież i dzisiaj faszysta zastrzelił Stefcię Minkiewiczów bez żadnej przyczyny. Na samo wspomnienie żal zalewa mi serce. Ze Stefką zaliśmy się od młodych lat, chodziliśmy razem do szkoły, a teraz...

Szary świt. Nagle w sieni stuk i we drzwiach staje ryżawy lejtnant Niemiec. Fala grozy owiała serce. Wszystkie oddechy zamarają na

chwile. Tłumaczy, że wszyscy musimy usunąć się na 20 km, gdyż tu będzie pierwsza linia.

— Alles fort... schnell!

Z pierwszą kobietą wyrzywa się bolesne westchnienie. Jak to? Znow do Niemców? W ostatniej chwili przed wyzwoleniem! Gdzieś w głębi duszy rodzi się bunt: „Nie pójdziemy!... Dosyć!... Pięć lat niewoli!”

— Chłopcy — powiada Kocieba — trzeba się przebić nim zaciągną stali front.

Trzeba, Wojciechowska ładuje pierwszą w furę. Górny i Felek w gorączkowym pośpiechu zaprzęga konie.

— Zurück!... Zurück!... — ryczy oficer.

Konie ponoszą... Trzysta metrów. Wóz rozrywa się. — Cholera! Rozwora peklia! — klnie Felek. — Boże! Boże!... — gorączkuje się Wojciechowska.

Przepadliśmy! Felek z Kocieba starają się naprawić. Rece im drżą. Nie mogą utrafić w otwór Ułamki sekund stają się wiekami. Nagle Kocieba syka z bólu, Dostał po palcach. Felek zaczyna znów konie... Dwieście metrów... Odzywa się karabin maszynowy. Czyja krzyk. Jeszcze sto metrów. Dach zapiera w

niem i ciemnych jak krata więzienia i ściany izby, w której czekałem na śmierć. Z ulicy dolatywały mnie gwary i strzelanina. Sądziłem, że lada chwila przyjdą po mnie i rozwalą. I los mój przyszedł. Ale o dziwo — nie był to gestapowiec z nahajką i rewolwerem w ręku, lecz miła uśmiechnięta dziewczyna o jasnych, roztrzepanych włosach i oczach niebieskich.

— Panie, wychodź z ciemnicy, Niemców już niema, jesteś wolny, my wynagliśmy faszyzów. — Na dworze jasnowłosa powiedziała: — Jestem Galina, telegrafistka z czołgu.

A po chwili dowiadywała się ciekawie, gdzie jest mój dom. Powiedziała, uczeszyła się i zawołała: — My też pojedziemy, bo tamteży nasza droga! Zabiorę Was do Waszego domu i rodziny, żebyście już nie tęsknili.

Jechałem więc czołgiem do Zabródzia z jasnowłosą. Wojska radzieckie zatrzymały się na jakiś czas w naszych stronach. Dziewczyna opowiadała mi o swojej ojczyźnie, a ja o naszym życiu. Zaprzyjaźniliśmy się.

Wreszcie wojsko opuściło Zabródzie, poszło dalej ściegą wroga. Wraz z wojskiem odjechała jasnowłosa dziewczyna z Kaukazu. A ja zostałem i w ciągu tych wszystkich lat wspominam ją z rozrzewaniem. Pamięć o niej wzmagą we mnie chęć budowania szczęścia mojej ojczyzny.

Jan Wróblewski

### BYŁE DO SWOICH

Już od trzech dni słysząc głuchy huk. To grają „Katusze”. W powietrzu czuć swąd prochu i mldący zapach krwi. Z polowego lazaretu dobiegają skamłające jęki rannych hitlerowców.

Nad samym wieczorem, opodał pod wzgórzem ustawiają działo. Pada charchąca komenda oficera. Pociski jeden za drugim ze złowrogim wyciem zrywają się w pobliskim lasku. Tam już nasi. Wokół pioną krwawe podchodnie ciężarnych stodoł — a w nich całoroczna praca.

O jedenastej ucisza się.

Kocieba idzie do chaty. Na ławach siedzą: Walenty, Orłowski i Orpik sprzecząc się o szarę w wojsku radzieckim. W kącie na stonie śpią dzieci, a stara Wojciechowska przebiera paciorki różańca.

Co jutro przyniesie? Czy wszyscy będąśmy żywi i wolni? Przecież i dzisiaj faszysta zastrzelił Stefcię Minkiewiczów bez żadnej przyczyny. Na samo wspomnienie żal zalewa mi serce. Ze Stefką zaliśmy się od młodych lat, chodziliśmy razem do szkoły, a teraz...

Szary świt. Nagle w sieni stuk i we drzwiach staje ryżawy lejtnant Niemiec. Fala grozy owiała serce. Wszystkie oddechy zamarają na



Synowie ludu promowani na oficerów Wojska Polskiego.

STANISŁAW PIĘTAK

## PIERWSZE STARCIE

ZONA Wojtka, Marysia, dwudziestoletnia kobieta, z żółtą od pracy twarzą, niespokojnymi, siwymi oczyma i zlekką już pogrubiałym w ciąży brzuchem, podniosła się od pniaka, gdzie zbierała na ramiączka drwa i rzekła cicho:



rys. S. Gierowski

— Chojnacki obrabiał przecie nas co roku, idź najpierw do niego.  
— Nieprzyjemnie tam iść, gotów znowu najrwać się i robić przytyki, żeśmy wzięli pole.  
— Co tam, głowa nasza powinna wiele wytrzymać. Byłe pojechał, zasiał, to najważniejsze.  
Wojtek rozrąbał ostatni kłosek drzewa, otarł pot i usiadł na pniaku. Żona, niosąc w jednej ręce wiadro wody, w drugiej drwa, zbliżała się już ku domowi i przywoływała kury do sieni. Naprzeciw domu Chojnackiego parskaly konie popędzane w kieracie przez dziesięcioletniego brzdąca, ze stodoły leciał śmiech i hałas, rzępli tam siczekę.

— Wszystko jedno, pójdę — zdecydował Wojtek. Zakurzył papierosa i naciągnął kaszkiet na prawe ucho, drobny z postawy, ale krępy i rzucający się w oczy z racji smagłej, cygańskiej niemal twarzy i czarnych, pięknych oczu. Przelazł przez dziurę w płocie na obęjsie swego sąsiada. Chojnacki oczywiście nie wyszedł mu naprzeciw, zachował się tak, jakby wcale nie zauważył gościa, nakładając słomę, krzycząc na najstarszą córkę, by z większym pośpiechem odgarniała siczekę i dowiecował z kimś siedzącym w zapolu na sianie.

Nagle zawołał. — A, to ty, Suchy? Sprykrzyżła ci się twoja baba i do Staszki mojej przyszła!  
— Chciałem, byście mi dali koni do orki — wyszeptał Wojtek, lecz zbladł, bo wysoki, z długim jak dziób nosem i rudymi włosami Chojnacki parsknął śmiechem w dalszym ciągu.

— Odrobiej, dajcie, dajcie...  
— A gdzie to chcesz orać? Gdzie ty masz pole? Na tej półmłodzie, co ci Marysia wniosła, zasiałeś żyto przecie.  
— Będę oraz na tym, com dostał.

— Co? Przecie wiesz będą za to, gdy kto nie odda dworskiej ziemi. Rzuć hektary, ratuj życie, Wojtus.  
— Ja po sprawiedliwości otrzymałem.  
— Tak? Idź więc do tych po konie, co ci hektary dali.  
— Wy nie pojedziecie?  
— Idź, póki ci dobry — zatrząsł się naraz Chojnacki i czerwieniąc na twarzy, wyszedł przed stodołę.  
— O co wam idzie?

Styszysz, Karol, słyszysz? — odwrócił się Chojnacki do siedzącego chłopca w zapolu. — Dziady zaczynają rezykować, stawiają się, dzisiaj hrabiego zniszczyli, jutro zniszczą nas, gospodarzy. Kto cię to, Suchy, uczy rozumu, byk, kozieł, czy kulawy pies? A do kościoła, do spowiedzi i całować nas po rękach, bryśmy ci znowu pozwolili żyć!  
Wojtek trząsł się od gniewu.  
— Przyjdzie jeszcze czas, doczekam się zmiany, skopię ja was, tak jak wy dzisiaj mnie. Nie wypuszcze ja waszych stów z pamięci.  
— Poszedł precz! — huczał już Chojnacki — bo ci kulka poświęć, cholero jedna! Nie doczekasz się ty zmiany, dziadu, przyjdzie do mnie, będziesz zebrał, abym cię wzięł do roboty, a ja ci dam żarcie na tym, co pies je.

— No i co? — spytała go żona, kiedy wyszedł.  
— Stała przy blasze, trzymając dziecko na ręku i mieszała żytką w ziemniakach, które się już gotowały.  
— Ech, pieskie nasze życie! — zawołał i nie chciał mówić, dopiero przy kolacji coś nie coś wybąkał.

— Trudno — odezwała się — trzeba szukać innej rady. Pojedziesz na krowie naszej, plug da ci Jasięk, brat twój, szlęję dostaniesz od Pawła Brzęczki. Zasiać trzeba.  
— Wiśniucha nasza nie poradzi, chuda, nie ma sił.

— Nie bój się, powoli zrobi, da ziemni radę.  
— Więc mam iść od Jaska?  
— Idź, idź, robi się ciepło, każda minuta jest droga.

Brzęczkę zastał właśnie przed domem. Stał przy wrotach i żegnał się z synem, dwudziestoparoletnim, ogorziałym wysokim milicjantem.

— Franek, robi się ciemno, nie kręć się po wsi, jedź wprost do miasta — mówil.  
— Ba, a Janka będzie na mnie czekać do rana — zaśmiał się chłopak.  
— Tylko bez żartów — pogroził Brzęczka synowi, który już wszedł na

rower i naraz zwrócił się do Wojtka.  
— Masz jakąś sprawę, a no to chodź do izby. — Rozumne jego, spokojne oczy ciemniały od głębokiego zamyslenia, wypołożył Wojtkowi nie tylko bron, pluga, i uprzyję, ale doradzał jeszcze, jak trzeba się obchodzić z kro-

chojnacki, że Wojtkowi na sekundę serce przestało bić w piersi z bólu, gniewu i oszołomienia.  
— Chodź, miej rozum — szarpnęła go Marysia i pociągnęła krowę do przodu.

Zajechali szczęśliwie na pole, ale orka nie szła im wcale. Wiśniucha ziała, rywała żałośnie, ronila pot i stawała co chwile. Marysia, dźwigając dziecko na ręku, przybiegała do krowy, ciągnęła ją za szlęję, ale to nie wiele pomagało. Wiśniucha przebiegała nogami z trudnością i znowu stawała, patrząc beznadziejnie na przecierające się niebo i na wrony podskakujące po skibach z wrzaskiem.

— Nie da rady — trza odczekać — wybelkotał Wojtek. — Idź, Marys, coś tam ugotyj, przyjdź po obiedzie.

Wyprzął Wiśniuchę, puścił ją na łąkę i stanowiący na skraju swojej działki, patrzył na plug z takim napięciem, jakby się sam zaprząć chciał do niego.

— Jak się masz, Wojtek? Ho, ho, na krowieś przyjechał, uparty chłop z ciebie! — rozległ się nagle z drogi pogodny, wysoki głos.

— Dzieńdobry — szepnął Wojtek i odwracając się zobaczył przed sobą Kaspra Łatawca, jasnowłosego, młodego chłopca, jadącego na capigach pluga wolno ku wsi.

— Puszczają pogłoski, że będą do nas strzelać, ale nie trza się bać, wszystkich nas nie powystrzelają. Należy robić, należy siał. Piękna ziemia, aż serce się raduje od tej nowej orki — wołał, Łatawca i zatrzymał niewysoką, tłustą, siwą kobyłę, — plegowała, szeroka jego twarz rozjaśniła się od uśmiechu.

Ta... ale nie mam czym. Krowa mi padnie, nie podolam.

— W samej rzeczy na krowie nie wiele poradysz. Zaczekaj do pojutra, ja ci zorzę i zaszję, wykreślisz spnokki i posyżysz mi dach na chałupie za to, dobrze?

— Naprawdę to, naprawdę — nie żartujesz? — wybąkał słabym głosem Wojtek.

— Co ty, chłopie! Dla mnie to nawet dobra kalkulacja, a ty robisz takcie oczy...  
Po drodze Wojtek, już weselszy, rozgadał się i opowiedział Kasprovi, jak go to wczoraj przyjął bogacz Chojnacki.

— Piecze, bracie, takie poniżenie człowieka. Co ja mu zawiniłem? Co zabrałem? W czym skrzywdziłem? — mówi żarliwie Wojtek.

— Ja się mam wcale dobrze — odparł Kasper — ale nie będę trzymał z takimi Chojnackimi, co im siła pycha na pyski uderza.

Wojtek tak był wzburzony radością, że kiedy wróciła Maryśka nie zmartwił się wiadomością, że stara Chojnacka przed swoją bramą zabiła im kure.

— Odpacimy im, nie martw się, Marys — mówił łagodnie, wciąż jeszcze uśmiechając się do Kaspra.

— O, spalić tego ciemnięcego Chojnackiego! Za naszą wielką krzywdę... — wołała Marysia i zachystywała się płaczem.

— Kasper Łatawca obiecał przyjechać do nas orać — wybąkał cicho Wojtek.

— Co? więc nie upadniemy, więc zaszjęmy — uśmiechnęła się Marysia, nalała w garnuszek mleka i postawiła szybko przed mężem.  
— Pij, napij się, nie bój się, zostało mi jeszcze kappka dla Mici.

Stanisław Piętak  
(fragment opowiadania)

JAN KOPROWSKI

## N A W E S E L U

Fragment powieści

PIECHOTA, siedzący w tyle za młodymi, był wyraźnie niezadowolony. Do ostatniej chwili myślał, że ślub odbędzie się w kościele. Nie pytał nawet o to, bo sądził, że to się samo przez się rozumie. Dopiero, gdy w drodze wyminieli kościół, Piechotę jakby coś tknęło. Gdy znaleźli się przed gmachem, w którym mieścił się ów urząd, wszystko stało się jasne. Ale postanowił być cierpliwym. Stał już ich nie zawróci. Co zrobił, już się nie odstanie.

Siedząc na krześle patrzył na urzędnika, to na niego, to na ściany, obwieszone kwiatami — bez obrazów. W kościele grałyby organy, lza napłynęłaby do oczu, człowiek by się wzruszył, popłakał i wszystko byłoby, jak należy. A tu? Nowożeńcy ubrani byli bez specjalnych grymasów. Tomek miał na sobie kupiony dawniej garnitur — brązowy w prążki, Antoska była w jasnym kostiumie, z głową odkrytą, bez kapelusza. Po lewej stronie głowy wpięła sobie we włosy czerwony, jaryżący goździk. Wyglądała skromnie, lecz ładnie.

Piechocie i to się również nie podobalo. On szedł do ślubu w specjalnym garniturze, a żona jego i pierwsza i ta druga miały welon długi, aż do ziemi i mirmek upięte włosy i białą, nowiutką suknie.

W domu Tomek chwycił Antoskę i pocałował na oczach wszystkich. Zupełnie nie zauważono, że Marcin Piechota udał się do kuchni, aby na to wszystko nie patrzeć.

Mietek Dynarski pomagał w ustawianiu stołów, Bronka ślała białe obrusy. Na przyjęciu, oprócz nich samych, miało być jeszcze paru kolegów Tomka i koleżanek Antoski, głównie z Rękawicznar w Michałow-



rys. S. Gierowski

wicach, oraz dyrektor Fabryki Maszyn Elektrycznych, Tadeusz Barczyk z żoną.

— A gdzie ojciec? — spytał w pewnej chwili Tomek, rozglądając się po pokoju.

Marcina Piechotę odnalazł w kuchni, siedzącego na małym stoleczku. Pałil papierosa, puszczał kłęby dymu pod sufitem.

— Co ojciec taki marnotny? Piechota wyjął papierosa z ust i spojrział surowo na Tomka.

— Powiem ci od razu, bez obwiania w bawelnę, że mi się to wasze wesela nie podoba.

— Dlaczego?  
— Zawołaj Antoskę, Wiktora i Bronkę, to wam powiem. Trzeba, żeby ojca wszyscy słyszeli.

W chwilę później siedzieli wszyscy w kuchni wokół starego.

— Nie podoba mi się to wasze wesela — powtórzył Piechota. — Działek wasz, a mój ojciec, brał ślub w kościele, ja brałem w kościele, baba i matka też, a w gdzie? Pierwszy odezwał się Tomek.

— Niech się ojciec nie denerwuje. Ślub ten tak samo ważny jak kościelny, a nawet ważniejszy, bo w świetle prawa — jedynie obowiązujący.

— Co wy mi tu będziecie o prawach gadali. Jakże są prawa — to ja dobrze wiem. Diabła wart taki ślub, jak wasz. To tak, jakbyście tu w domu przysięgali, przed pierwszym lepszym człowiekiem. Mierz mi to. A tak się cieszyłem. Jechalam tu do was z ochotą. Pierwsza córka wydaje się za mąż — myślałem. Pewnie będzie uroczyste, ładnie. W kościele będą grały organy, paliły się świece, przyjdzie dużo ludzi, zobaczą, pokiwają głowami, zostanie coś z tego w pamięci. A wy co? Nawet porządne ubrania zeszicie nie mieli.

Antoska patrzyła trwoźnym wzrokiem na Tomka, Bronka z Wiktozem milczeli, jedynie Tomek nie stracił się wcale.

— My z Antoską grosza od nikogo nie pożyczaliśmy. Ja wiem, dawniej to panowało takie przekonanie: zaszaw się, a postaw się. I stawiali się, nawet ci, co ich nie stać było na to. Byle tylko przed światem się pokazać. A potem gorzkie życie, wyrzuty sumienia, kłótnie. Bo często nie było z czego oddać, a dłużnik nie czekał.

Piechota machną ręką zdenerwowany.

— Wy mi tu o tym nie gadajcie. Każdy wie swoje. Wy jedno, a ja drugie. Mnie o ten kościół chodzi. — Nagle zwrócił się do Antoski. — A jak on cię rzuci, to co?

Antoska zapłonęła. Spytała cicho: — A dlaczego miałby rzucić?  
Piechota szmygnął niedopałek papierosa w ką.

— To ci powiem, dlaczego. Bo kto nie ślubuje w kościele, ten ślubuje na wiatr. Z wiatrem takie ślubowanie leci. Psu ślubuje, a nie Panu Bogu. A cóż taki urzędnik znaczy? Tomek wciął się niespokojnie na krześle. Podniósł lekko rękę do góry.

— Przepraszam. Niech się ojciec nie gniewa, ale ja powiem, że ojciec wcale nie ma racji. Po pierwsze — obywateli obowiązuje prawo. I do prawa tego stosować się trzeba. Chcesz ślubować w kościele — proszę bardzo. Ale prawomocne staje się małżeństwo dopiero po zawarciu ślubu w Urzędzie Stanu Cywilnego.

Gdybyśmy dziś tego ślubu nie wzięli, to by właśnie było — jak ojciec nazywa — pieskie życie. A po drugie — niech mi ojciec powie, czy zawarcie ślubu w kościele gwarantuje miłość dogonną? Czy gdybym poszedł z Antoską do kościoła, znaczącyoby to, że jestem z nią związany na wieki? Że już jej nigdy nie porzucę? Niech się ojciec nie boi, ja jej nie porzucę. Bo ja kocham i ona mnie kocha. Jest tu u nas w niedalekim sąsiedztwie małżeństwo. Nazwijają się Klujanowice. Przed rokiem się pobrali. Żeby ojciec wiedział, z jaką to wszystko odbywało się pompą. Świec i kwiatów pełno było na ołtarzu. Orszak ciągnął się przez cały kościół. Dziesiąta wieś o tym wiedziała. Ślubowali sobie w kościele wobec księdza. Chce ojciec wiedzieć, co się z nimi dziś dzieje? Biją się i kłóca. Pomogło im to ślubowanie, związało ich?

— Kto to może wiedzieć. Niepotrzebnie tu do was przyjechałem. Po co mi to. Tyli świat drogi. — Podniósł się z krzesła. — Przyszukujcie mi rzeczy. Pojadę sobie do domu. Będziecie mieli spokój wy i ja będę miał spokój. Co tam gadać.

— Marcin Piechota, podpiszcie sobie, jadł dużo i dużo mówił. Opowiadał o Czajęcicach, o gospodarstwie, o robocie i pozyciu z Jadwigą.

— Zawsze myślałem, że będą mi z was poczcie. Że użycie mi w robocie, więc mi trochę ciężaru na swoje plecy. Człowiek chworał, oglądała się na nie, że pomoc jaka z nich będzie. A wy co? Wyliecieliście z domu w świat, każde w inną stronę. A ja jak się męczyłem, tak się męczę. Dzieci po Jadwidze do roboty niezdatne. Adaś wstał, a Kasia z Małgorzatką jeszcze małe.

Jadwiga dosyć ma roboty z nimi, nie ma co liczyć na nią w gospodarstwie. W polu samemu ciężko. Orać, siał w pojedynkę, bez nicyjczy pomocy. Lata robią swoje. Nie mam tej siły, co kiedyś.

Wiktora, który pod wpływem wypitego wina wpadał w coraz weselszy nastrój, przysiadł się teraz do ojca i powiedział mrużąc oczy:

— A rzućcie ojciec do cholery tę gospodarzkę indywidualną i przeszedł na spółdzielnię. Byłoby ojcu leżej.

Stary Piechota oprzytomniał, podniósł głowę i spojrział na Wiktora jakby go chciał tym spojrzeniem ukamienować.

— Co ty mnie będziesz uczył, co mam robić, gówniarzu? Ja sam wiem, co do mnie należy.

Wiktora się podważył.

— Co ojciec będzie mi tu od gówniarny wymyślał. Przedownik jestem, nie żaden gówniarny!

— A jesteś — ryknął Piechota i też poderwał się z krzesła.

— Niech się ojciec uspokoi — powtarzał uporczywie Tomek.

— Nie uspokój się. Co on mnie tu będzie uczył. Mnie, starego, ojca dzieciom?

— W spółdzielni by się ojciec tak nie męczył — powtarzał również uporczywie Wiktora.

— Nie mów mi o spółdzielni, bo cię zdziele. Widzicie go, agitator, polityk. Co ty wiesz o ziemi, o robocie w gospodarstwie. Ledwie ci się mech puścił pod nosem, pszedzcie sobie z domu. Wście wyszyscy tacy. Ale do gadania to pierwszy.

Czy ty wiesz, ile ja się namęczyłem, ile potu trzeba było wylać, żeby do tej ziemi przysięść. Czy nie po to krwaWił wasz dziadek? Pieniądze w nią wpakował, zdrowie stracił, żeby mnie i wam było lepiej.

— Ładnie lepiej, jak ojciec ciągle narzeka.

— Narzekam przez was. Bo wy nie macie miłości do ziemi. Poszliście, jakby was to nie a nie nie obchodziło. Zostawiliście mnie samego. Ale ja tej ziemi nie opuszczę.

— Powiedziałem ojcu z dobrego serca, a ojciec na mnie zębą. Nikt ojcu nie każe rzucać ziemi. Ale można pracować na ziemi i nie męczyć tak siebie i dzieci.

— Jeszcze chwala Bogu, nikt od tej roboty nie umarł.

Wiktora zachnął się.

— Nikt nie umarł? — Mówi ojciec, że nikt nie umarł? A naszą matkę co zabiło, jak nie ta robotą w gospodarstwie? Była słabego serca i żeby nie to harowanie i w domu i na polu i w zagrodzie, żyłaby do dziś. Ta „gospodarka własna" naszą matkę zabiła. Oj, nie było takiej drugiej matki na świecie. — Wiktora zaczął płakać pod wpływem wspomnień i pod wpływem wina.

— Ja jeszcze dziś pamiętam, jak matka nrsza umarła. Upadła na podłogę i już więcej nie wstała. To ta robotą tak się jej przysłużyła.

— Wiktora zaczął bić pięściami w stół. — Ziemia ja zamordowała. Gospodarka. Ojciec ją do grobu wpędził. Tak, tak!... Wesele było w kościele, a jakże, a potem co ojciec dał za los matkę? Coście mieli za życie? Matka — nie wytrzymała i my byśmy nie wytrzymał, gdyby nie było nowej Polski. Jak się dziś mamy i ja i Antoska i jej mąż? Czy my swoim dzieciom nie damy lepszej przyszłości? Damy i to jeszcze jaką! A ojciec co dał nam i matce? Ślub w kościele i śmierć we własnej zagrodzie. Śmierć!

Stary Piechota wstał i powoli i zdawało się wszystkim, że zbiera się do skoku, za chwilę rucił się na Wiktora i zaczął bić wściekle i nieprzytomnie.

Ale Piechota wstając bladł coraz bardziej, aż nagle z powrotem rymnął na krzesło i zapłakał.

Barczyk wstał z kieliszkiem wina.

— Proponuję wypić za pomyślny rozwój sojuszu robotniczo-chłopskiego. — Spojrzął po zebranych. — Bo nasz Tomek — robotnik, zaś Antosia — chłopka. Żeniąc się, zawarli sojusz, czy nie zawarli?

— Zawarli — krzyknęli młodzi.

Piechota zauważył, że dyrektor sam jest jeszcze bardzo młody. Przytaknął.

— Młodzi do zabawy jedyni, wiadomo. Kijem by ich od tego nie odpedził.

Jan Koprowski

PIOTR PAWLENKO

## Ś W I T

15.VI.1951 r. zmarł Piotr Pawlenko, wybitny pisarz radziecki, autor znanych powieści „Barykady”, „Szczęście”, „Na Wschodzie”, szeregu świetnych opowiadań, z których jedno drukujemy poniżej, oraz scenariuszy filmowych do „Przysięgi”, „Aleksandra Newskiego” i „Upadku Berlina”.

Za swą działalność został kilkakrotnie odznaczony Nagrodą Stalinowską.

Publiczność polska zna Pawlenkę przede wszystkim z granicy w Warszawie scenicznej przeróbki jego „Szczęścia”.

Swą wszechstronną, bogatą działalnością Piotr Pawlenko dobrze zasłużył się swej socjalistycznej ojczyźnie, wniósł znaczny wkład w międzynarodową walkę o postęp i pokój.

Odkąd wyjechali z Charkowa, nie widzieli słońca. Im bardziej na południe, tym słotniejsza i gorsza była pogoda, jakby pociąg nie zbliżał się do ciepłych okolic, lecz uparcie oddalał się od nich ku północy; stępy były coraz smutniejsze, nieprzytulne, mokre, ludzie zaszepiali.

Zamiast zimy nastąpiły mokre wiatry, a koło Czongaru rozszalała się stepowa burza, która przeszła w górską zamięć na Czatyrdachu i zaczęła strasznym sztormem, od którego pośliznęło morze koło cichej, jakby bezładnej Aluszy.

Ogłuszony sztormem, przesiąknięci słoną morską mgłą, skłopotani, milczący, przybyli nocą na otwartych ciężarówkach do wsi, gdzie odtąd mieli zacząć nowe życie.

Pełnomocnik rejonowego komitetu wykonawczego, narzucając wózek na głowę, zgarbiony biegł od domu do domu i ochryplym głosem wykrzykiwał, jakby za każdym razem znajdował coś zadziwiającego:

— Dwie łzby z kuchnią, weranda, spiżarnia — raj dla rodziny. Kogo tam macie, Sztepenko?

I przewodniczący kolchozu, tak jak wszyscy zakłopotany, wykrzykiwał:

— Kostiuł.

— Jestem tu Mikołaju Piotrowiczu.

— Twój dom, zajmuj go na zdrowie.

Potykać się, obojętnie ustosunkowany do ziemi, krzywo wymykającej się spod nóg i najeżonej ostrymi kamieniami, Kostiuł wszedł po omacku do domu, niosąc w ręku portret Stalina i ramkę z fotografiami synów, żołnierzy frontowych.

— W tobie żyć, w tobie dobro czynić, ty — nam, my — tobie — wspaniał cichutko, żeby nie usłyszała synowa. — Daj boże pokój i szczęście. Baby, myjcie podłogi.

Noc była czarna, wietrzna, przenikliwie świeża i w ciemnym domu

z wybitymi szczybami nie można było nawet zapalić ognia, nie widać było skąd przynieść wody, wobec czego kobiety stanowczo odmówiły babraniu się z podłogami i zwaliny na kupę cały dobytek, przytulili do niego śpiące dzieciaki, wyszły na krzywą uliczkę i długo, długo gadały z sąsiadkami, wdychając i klnąc z całej duszy.

I Kostiuł nie mógł spać. „Ot tobie i Krym — myślał marnotnie, leżąc z początku na workach z dobytkiem obok wnuczka, a potem wychodząc na ulicę. — Skusili, chrzą im w pięty. Pas podzwrotnikowy, żeby ich diablił wzięli!”

Stał oparty o szorstką muirowaną ścianę swojego nowego domu, który według zapewnienia pełnomocnika był pokryty cynkową blachą i mógł jeszcze wytrzymać dobrych trzydzieści lat bez remontu. Bał się odejść, żeby nie zabłądzić. Nie mógł sobie wyobrazić, jak wygląda dom i gdzie się właściwie znajduje. Ulice były wąskie, zdawało się tylko niuizki murowane płotki przeszkadzają domom zsunąć się razem. Domy stały bokiem do ulicy, a nie frontem. I jak tu, powiedzmy, podwieść drzewa? Nie rozumiem. A już zupełnie nie wiadomo, jak po takich górach pędzą świnię na pastwisko. Chciał zapytać synowej, ale powstrzymał się w porę. Poszłoby i tu. Skusił mnie, jak to mówią, stary diabeł swoim Krymem, a teraz sam nie wiem, co do czego.

„Jest tu jakaś pomyłka — myślał sobie. — Pośpieszyl, choroba ich weźmie... A wszystko ten pełnomocnik, słodkooki diabeł: „Przyroda, przyroda, ciepło jak w ciepłarni... Otóż masz, jakie tu u nich ciepło!... Owoce cały rok, deszczów nie ma, dokoła tylko słońce... Ach, żeby go cholera, podły, tak namówił!... Wracać już jakoś nie wypada, jakoś niezręcznie... Będą się wysmiewać...”

Jak pomyślał, co jeszcze powiedzą, jak ustosunkują się do przesiedlenia synowie, walcząca teraz gdzieś daleko nad morzem bałtyckim, serce jego ścisnęło się takim żalem, takim bólem, że zgrzytnął zębami i przestał na chwilę oddychać.

...Zbliżyła się północ, a wieś ciągle się jeszcze krzątała, urządziła się, skrzypiała drzwiami, potykała padała, śmiała się, gubiła i odnajdywała swój dobytek, trzeszczała chróstem, uwiązywała psy u wejścia i głucho nawoływała się, jak na biwaku. Właściwie był to jeszcze obóz, a nie wieś.

Kiedy stara z synową poszły spać, Kostiuł przysiadł na kamieniu przy ścianie domu i zaczął czekać ranka, żeby mógł pierwszy zobaczyć tutejsze życie i określić, jak tu najpoczątniej działać.

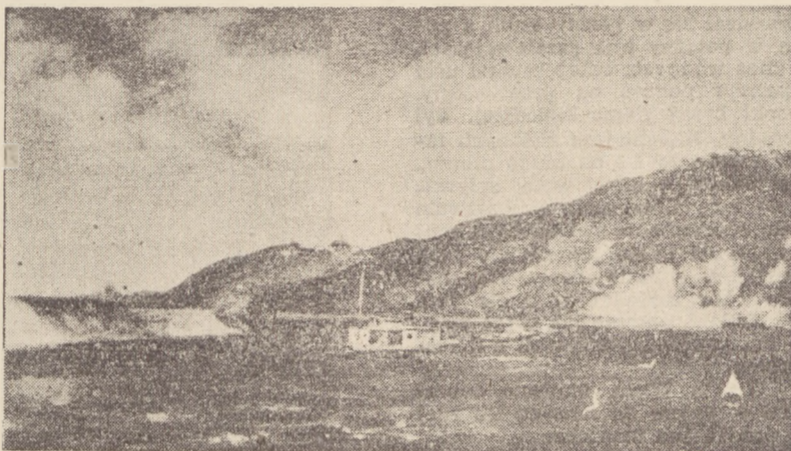
Spać mu się nie chciało, zresztą — strach spać w obcym miejscu, nie

wiedząc właściwie, jakie ono jest. Trzeba wysiedzieć przyrodę, przypatrzyć się jej... — Oczekiwał świtu, jak gospodarza, który wyjdzie i wszystko mu wytłumaczy.

Noc zmieniała się ze cztery razy. Wiatr ucichł i lunął deszcz szumny, nawalny, rozpaczliwy, lecz i on ustał szybko, jakby wszystko wycofało spoza niebieskich tam i na chwilę wylazł błady, udreżony księżyc, ale zmarznięty zawinał się szybko w poszarpane obłoki i wtedy zaczęło się coś podobnego do powolnego, ciepłego przedświtu.

Góry stopniowo oddzieliły się od obłoków, niebo oddzieliło się od morza i widać było daleko. Kostiuł spojrział na boki: przy każdym domu sterczała ludzka postać. Wszyscy mężczyźni spotykali ranek. I wszyscy milczeli, jakby nie zauważali jeden drugiego i każdy robił wrażenie, że to tylko on.

Szara rzadka mgła szybko poróżniała. Przedmioty zaczęły się jaszkrawo barwić. W dolinach zapłonęły sady. Morze uderzyło w oczy niebieskim blaskiem. Góry rozsunęły się, rozprostowały swoje plecy i



po ich grzbietach przebiegły pierwsze promienie słońca.

Było coś niewypowiedzianie pięknego w obrazie tego wczesnego ranka. Kraina pokazywała się ludziom. Kostiuł od razu wszystko zobaczył i wszystko od razu zrozumiał. Gęste lasy zbiegały po zboczach gór. Niżej, na ciepłych pagórkach, pszczyły się winnice i tytoniowe działki. W dolinach i fałdach chowały się sady. Jeszcze niżej znowu pszczyły się winnice i sady. Sady i winnice, a zupełnie na dole, za łąkami i polami, widać było wieś, jak na biwaku. Właściwie był to jeszcze obóz, a nie wieś.

Było tu wszystko: i szeroka przestrzeń dla oczu, jeżeli patrzeć w morze, które błękitnym stemem gineło za horyzontem do samej Tu-reczczyzny; i schronienie, jeśli popatrzyć na lasy i wzgórze z winnicami, i wysokość, jeśli popatrzyć na skaliste szczyty gór — tu było wszystko, jak we śnie.

Kraj ten dobrze znał jeszcze z dzieciństwa, kiedy, bywało, matka kołysząc go, śpiewała coś smutnego i cichego o krymskich stepach i czumackiej dolinie, a on marząc o tym, co zawierała pieśń, drżał ze strachu przed tymi bezkresnymi stepami i niebezpieczeństwami, których nie chciał uniknąć.

Po tym, gdy podrosł, także nie mało słyszał o Krymie, lecz to już były dobre słuchy: o pszenicach, słończnikach, o sadach. I zdawało się, że kraj ten jest daleki i cudowny, jak cesarskie komnaty i nawet dziwne, że w tym kraju rodzi się zwyczajna rosyjska pszenica, a nie jakieś szczególne, cesarskie ziarno.

I oto teraz stoi sam na górze nad morzem i siadzie nad nim pić herbatę, a potem będzie jeść obiad i kolację, a potem położy się spać, a ono jak stało, tak cały czas będzie stać przed jego prostym skromnym życiem. Góry, których dawno już nie widział też były rozstawione dookoła jego domu jakby dla ozdoby całego tutejszego życia. I było tu wszystkiego dużo: i mo-



prosto w podwórzu. Zdawało się, że wystarczy pluć przez plot, a trafisz w morze. Kilka nieznanych drzew z pachnącymi liśćmi rości na skrajach podwórza. Niewielki skrawek ogrodu ukośnie przylepił się z boku.

„Ciasnawo, lecz już jako — tako...”

I zaczął iść do góry po wąskiej krętej uliczce.

— No, jak Kostiuł? — usłyszał głos przewodniczącego. — Jak uważasz? Życie, co?...

Kostiuł, nie odwracając się, lecz czując, że przewodniczący zbliżył się do niego, przesunął rękę po twarzy.

— Cóż, przedłożyli odpowiedzialne życie — powiedział z zadowoleniem. — Raj...

— A ty jak myślałeś? Lecz do raju jeszcze daleko. Raj, Kostiuł, trzeba zrobić, raj sam w ręce nie lezie...

— To i cóż, zrobimy — spokojnie, z godnością odpowiedział Kostiuł — skoro jesteśmy upoważnieni przez Stalina i nam przedłożono to życie... Czemuż nie zrobić... Oto, przede wszystkim wiatraki trzeba pobudować — rzekł on surowo jako najstarszy i przewodniczący kiwnął głową. — Zrozumiałe? Żeby wodę ze studzien pompować. Po drugie trzode chlewną przenieść na górę, bliżej lasu, żeby nam świnię nie przeszkadzały...

— No, no, no... Dawaj, dawaj...

— Pszczoły zaprowadzić. Czujesz, jakie tu aromatyczne powietrze, czysty miód. Pszczoły, pszczoły — przede wszystkim. Łódzie zaprowadzić na ryby — ciągnął w radosnym porywie osławiania się z nowym życiem, w hazardzie pierwszego wzywiania się w nie. — Przecież morze stoi, samo prosi — bierz.

— Masz rację, ryby weźmiemy. No, no? — zachęcał go przewodniczący.

„A w tej dolinie — oto pod skałą — grobla będzie i taki stawek... Tam niech się geś roją. Stamtąd i sady podlewać. Rozumiesz? Tu jak obciąć na jakie dwa lata roboty. Za to... Słyszysz przewodniczący?”

— Słysz, miły, słysz. Czemu nie mam słyszeć... Zresztą i ja mam oczy... No, dawaj, dawaj...

Za Kostiułkiem stał tłum, słuchali go w milczeniu. Był najstarszy. Najbardziej niezadowolony, opryskliwy, wymagający, lecz i najbardziej doświadczony. Gdzie on tylko nie był przez całe swoje życie i na

Kaukazie, i na Dalekim Wschodzie, i w Turkiestanie i zawsze wracał do rodzinnej wioski, nigdzie nie znalazł niczego, co by było miłe jego sercu. A teraz Kostiuł widać, nie wybierał się spowrotem. Nie, nie wybierał się. Piękno tutejszych stron urzekło go i podbiło na wieki.

Kobiety, przeciągając się sennie, wychodziły z domów ogłędając je i ostrożnym spojrzeniem porównywały z sąsiednimi domami. Wszła i jego synowa. Kostiuł, nie spojrzawszy na nią, ciągnął żartobliwie, o-rzeźwiająco:

— A wino w tutejszych stronach lekkie, zdrowe wino i tytoń też lekki, a konfitury, baby, bedziecie smażyć z derenia — widzicie, całe jego chmary na gorach, i z tarniny i z tego zielonego z orzechów, jak Gruzini smażą, a nie — to z brzoskwiń, a wódkę pedzić — z pestek, dobra wódka i żyć tu nam, aż do pełnego szczęścia.

Nikt nie przerywał staremu Kostiułowi.

— Zamyślił się.

Oczywiście, każdy rozumiał, że nie od konfitur trzeba zaczynać życie na tej ciężkiej, kamienistej ziemi, lecz wszyscy chcieli, by już naprawdę było dobrze, i słowa Kostiuła o konfiturach zostały przyjęte wesółym uśmiechem, oceniającym jego dobry żart. Rozweseliła się i synowa Kostiuła i ładna lek kapryśnie swarzyła jej twarz przybrała miły wyraz.

„Ciężko i niewesoło będzie tu z początku na nowym miejscu” — myślał Kostiuł, lecz dusza ludzka lubi, by gdzieś przed nią, za zakrętami ciężkiej drogi świeciło słońce.

Widział to dalekie słońce, czuł prawie jego łagodne ciepło...

„A trudności... Mój ty boże, kiedy się nie było! A tu, patrzcie, jakie piękne życie, bierz je z jakiej chcesz strony...”

I Kostiuł zdjął z siwych włosów czapkę, i wszyscy poszli za jego przykładem:

— Raj nam otworzyłeś, kochany towarzyszu Stalin. Daj ci boże zdrowie, a nam — powodzenia.

I długo, długo milczał, jakby czekał odpowiedzi.

A słońce, osiadałszy złocistozielone góry, już zalewało świat. I stało dookoła ciche piękne, takie, jakiego ci ludzie jeszcze nie widzieli.

1945.

tłum. Wanda Tomaszewska.

KLEMENS OLESIK

## Ż N I W A

(Reportaż poetycki)

Chętnie przyjmuje wezwanie Opiela Jan, który liczy lat ponad sześćdziesiąt (a o starości mówi, że to przesąd).

Na długo jeszcze sprawności tej talent nie jest młodzieży dany, jak Opieli: jakby z rąk snopa nie wypuszczał wcale — nowy mu w rękach płowieje, i bieli się w słońcu jego siwa głowa. Stary — młodym nie chciał ustępować.

\*

Zmierzechem wilgotnym z jeziora wypłania się spokój po pracy i cisza po traktorach osiadła wśród rzędów akacji, u płotów, przy których czekają chłopcy na powrót z pastwiska krów, które pasie się razem. Heż z nich każdy uzyskał swobody! Gdy dawniej ojciec tarmosił zaspanych o świcie, że czas wypędzać krowy. Gniewał się nauczyciel za spóźnienia do szkoły.

\*

Sam dobrze pamiętam przecieć: ledwie się, bracie, położył — już ci bał w rękę wtykają (dobrze gdy w drugą chleb włożą). „Łudnia — jakże ospale były dla wiejskich pastuchów! Tak wiosną. Latem. Dnie całe. O ląko mojej młodości, o rzeko moich westchnień! Heż smutków i radości wodą spłynęło i plesnią. Kiedy nadeszła jesień ojciec odbierał pieniądze na cąjgowe porcięta.

placili je stary Dygas (dobrze go jeszcze pamiętam): Był chytry, zawsze urywał to za złamane biczyko, to za spaloną konieczyne (miał kartowane wszystko). I choćby to było w maju z rejestru wyczytał gładko: „Jaworski krowy zajął...” Kłął ojciec i matka ręce łamała (gdzież sprawiedliwość?) lecz jest że bogacz ucziwy? Takich na świecie nie było. Powie coś o tym Dąb Franek: przez lat pięćnaście parobkiem

był u różnych i życie miał niesłodkie.

\*

Cóż — urodzenie? Rzecz przypadku. Rozwaga przychodzi z wiekiem, a wtedy nie pytano go czy chciałby zostać człowiekiem.

Człowiekiem być, ba — chłopcem małym to, prawdę mówiąc, trudna rzecz. Matka Franka nic nie miała prócz swoich rąk. Lecz

matka umarła. Sześciolateń jak może radzić sobie skrzat? Wziął Franka Madej (był mądry) Czegóż Frankowi będzie brak?

Lecz odtąd brak było wszystkiego, a tylko pracy było wbród: ułitował się nad sierotą Madej i Bóg.

Cóż — wtedy i to karierą było: mógł przecieć zdechnąć gdzieś pod płotem: — Pamiętaj, matka ci to wymodliła... Nie zapominaj nigdy o tym —

Wiele w swym życiu przeszedł Dąb, wielu Madejów w życiu było. Dziś w życiorysie pisze to: „...więc na kulaków się robiło, najadł się człek krzywdy i biedy. A do szkoły — to nie chodziłem. Nie było kłedy.

Poznałem teraz nowe życie, porządek inny i ład — towarzysze, chciałbym z wami budować świat!”.

(Fragment reportażu)



Pytano matki: — „Na co jeszcze młodźi czekają jeśli serce jest po myśli Franka i Jadzi... Raz się człowiek rodzi — jak raz do roku kwitnie drzewo wiśni...” — „No, jak widzicie, w miłości tak bywa. Dojrzewa przecieć jak żyto do żniwa...”

Mówiła matka. Żniwa były blisko: kłosa płowiały, okwitły akacje. Jędrzejczak w POM-ie zatłowił już wszystko, najdrobniejsze nawet kalkulacje: gdzie ZETORAMI, gdzie pójdą URSUSY (Ursus, wiadomo i na piaskach ruszy).

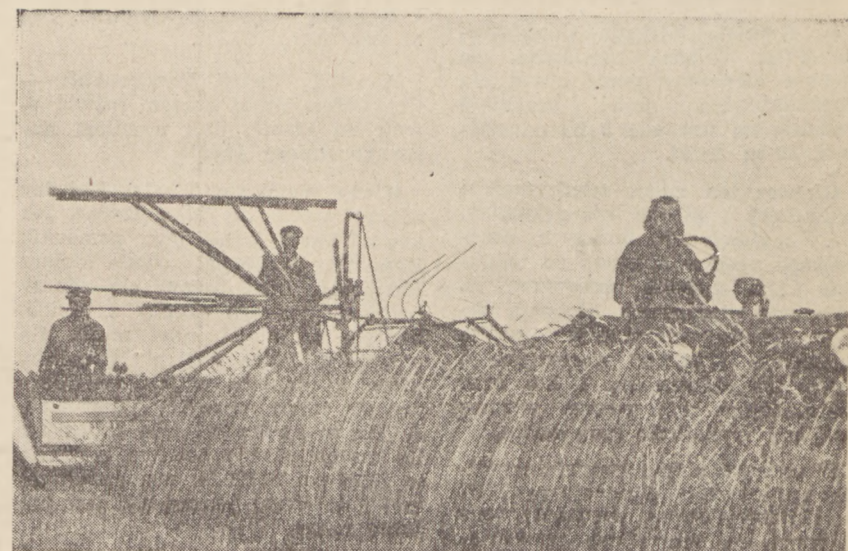
Ruszyły. Rankiem Szymkowiak mnie zbudził (bo go przezornie prosilem z wieczora), a już na drodze pełno było ludzi: szli jak procesją. Chłopcy na traktorach smagali, berety z głów zrywali płowych. Tak się zaczęły żniwa w Turostowie.

\*

Dyrektor POM-u przysłał co najlepszych: zwycięski turniej na polach trustowskich prowadził Wajda, a wśród młodych ze wsi Franek Dąb sprawnie kładł pierwsze pokosy pod „traktorowe ścieżki” i szły po nich snopowięzanki. Motor dzwonił

sprawnie i żeby kosiarek się wgrzyzły w szeroką polać, a gotowe snopy kładły się rzędem jak pijane chłopcy. Lecz, jakby baba groziła im z izby — wstawały predko i stały w gromadzie kopy i mendle jak jabłonie w sadzie.

Wśród zetempowskiej brygady rej wodził Jurek Tarowski, syn nauczyciela: on ze starszymi chciałby zmierzyć młodzież.



STANISŁAW GOSZCZURNY

KRYSZYNA PAŁYS

# O kowalu — wynalazcy



trzyma za swój pomysł premię w wysokości 800 złotych.

I co ja wiem o tej trójce? O kowalu, jego pomocniku i przyjacielu, stolarzu? A przecież ta ich wzajemna sympatia to klucz do PGR-u w Martagu, klucz do zrozumienia nowych ludzi na naszej wsi. Przypominam sobie, jak kowal mówił: ojciec nie mógł wyżyć nas czwórka i żony. Byłem najstarszym, musiałem pierwszy odejść. W 12-tych roku życia przyjął mnie kowal na praktyka... o ten — wskazał na pomocnika — ma dopiero zupełnie inne życie. Pracuje 9 godzin, dostaje pensję, dobrze się ma i przy jakim jest warsztacie? Ile tu może wmyślić i jak szeroko upowszechnić?

Przekroczyłem zaraz do wynalazku, o którym mi w zarządzie PGR-u wspomniano. Stary kowal był powściągliwy. Opowiadał rzeczową historię tego wynalazku. Ze stery starym zelaśta wyciągnął połamaną i niezdadną do użytku głębosz. Taką miał pluzek do przeorywania ziemi między rzędami. Naprawił go, ale zauważył, że jest trochę nie wygodny, bo cały jego ciężar leciałby na ręce orzącego. Dorobił więc z tyłu dwie stopki, które ślizgają się po ziemi i człowiek teraz już tylko kieruje głęboszem a nie musi go dźwigać.

Ponieważ te stopki są trochę powyżej lemieszka, wykombinował kowal, że jakby je rozszerzyć, w dół puścić żeby zaostrzone, wyżej zakrzywione noże, mogłyby równocześnie spulchniać ziemię i podcinać chwasty. Spróbował zrobić i powiodło się. 22 maja komisja zjechała, zbadała i wynalazek uznała za dobry i użyteczny.

Wydawało mi się, że mam już szczegół w ręku, daleko więc do nowego. Nadszedł wówczas Mendeluk i zabrał się od początku do sprawy głębosza i złotego Antosia.

Wziąłem go za starego gadułę i umknąłem do kuźni. Po co dwa razy słuchać o tym samym? Teraz mi wstyd i głupio. Nie dwa a dziesięć razy warto i należy słuchać o tym samym, nawet gdy mówi ten sam człowiek, a cóż dopiero, gdy mówią różni ludzie. Tu tkwi tajemnica i rzeczywistość i pisarstwa: w tych wariantach, nowych ujęciach, nowych szczegółach, sprzecznosciach, akcentowaniu raz tego, raz tamtego. I co najważniejsze, kto mówi i dlaczego tak.

Przegałem, kluczowych ludzi przegałem. Nie spytałem kowala o pełny życiorys. Ma 50 lat pracy w kuźniach. Gdzie pracował? Czy wyszedł na wioskowego kowala, czy się dorobił? I jak się dorobił. Czy kupił ziemię? Wszedł między średniaki a może bogaczy? Czy też klepał biedę, ale dlaczego? Gdzie, w jakich okolicznościach? Czy w jego kuźni kula się przed wojną „nie dozwolone myśli”? Nie spytałem o to jego przyjaciela, starożytnego Mendeluka. A ten by nie gorzej od Homera opiewał dzieje złotego Antosia.

Cóż ja wiem? Ze 64-letni kowal zdobywał się na wynalazek? Po 50-ciu latach pracy nie na emeryturę idzie do dzieci, ale tutaj na PGR-ze udoskonalą narzędzia rolnicze. Tutaj się budzi i po raz drugi przeżywa lepszą wiosnę swego życia?

Daje dla pracochłonnego zakresu rolnictwa oszczędność na 3 ha pracy 30 ludzi dziennie. Oto pytanie, dlaczego Daczkowski dawniej nie wymyślał, nie udoskonaliał? A dopiero teraz? Dlaczego jego pomocnik 18-letni patrzy na tego siwego opłzniętego z miłością, czego w fachu kowalskim dawniej szukałbyś ze świecą? Ile z brygad peerowowskich, z ich dynamiki socjalistycznej pracy, z ich pokojowych czolgów i parków maszynowych spłynęło w dawne marzenia kowala? Ile z gazet, świętych triumfów prozdrowotników i racjonalizatorów-robotników? Przypominam sobie, że kowal Daczkowski w pewnym momencie nazwał siebie robotnikiem. Aha, było to tak! Stolarz Mendeluk zdążył opowiedzieć, jak to złoty Antos święcił 1-Maja. Nic nie zadeklarował. Strasznie się Mendeluk zmartwił, ale podpatrzył złotego Antosia, że ten po cichu ze starym zelaśta przerabiał motyki. I 20 sztuk odniósł 30 kwietnia. Tak nasz złoty Antos.

A wtedy kowal Daczkowski: — Co miałem przed czasem mówić — wolałem zrobić. Tak uczciłem nasze robotnicze święto.

Kiedy Wam się Młodzi Koledzy zdarzy trafić na taką trójkę, jak kowal Daczkowski, jego pomocnik Konefał i przyjaciel kowala stolarz Mendeluk, kiedy Wam się zdarzy trafić na jednego choćby z takich, bądźcie czujniejsi ode mnie. Są szczegóły, które odsłaniają całość, które ja dopiero wyjaśniam. Uczmy się także szczegóły wykrywać. A jest o nauka na tyle łatwa na ile trudna. Każdy bowiem człowiek w PGR-ze, POM-ie, wsi spółdzielczej i na starej jeszcze wsi jest już jakimś nowym.

Stanisław Goszczyński

# Świeciechów to wielki temat

Kto by szukał wsi do powieści o szerokim, epickim oddechu, o wielu bohaterach, wielu wątkach i wielu etapach temu bym podsunęła Świeciechów. Duża to wieś pod Annopolem Od Wisły dzieła ją szeroki pas żywności z przepyszną pszenicą i dorodnym lnem.

Dlaczego Świeciechów? Ze powstała tam spółdzielnia produkcyjna? Tak, ale na jakiej drodze, poprzez jakie dzieje, poprzez jakie olbrzymie prace i budowy! Spółdzielnia produkcyjna w Świeciechowie jest dzieckiem całego powiatu krańcickiego. Tysiące chłopów tam, na miejscu, w Świeciechowie zakładają jej fundamenty i stamtąd poniosła z sobą na gminy całego powiatu rozmach do nowego.

Jak to rozumieć? Poczekajcie, po kolei.

Świeciechów przez wieki był zagrożony wylewami Wisły. Ale zostawmy historię przeszłości. Co pamięta, czem żyło ostatnie pokolenie?

Kiedy późną wiosną lub wczesnym latem nie ustawały deszcze, czujne ucho chłopskie łowiło i nocą odgłosy dochodzące od rzeki. Jeśli szmer przerażał się w głosny szum a potem w potężny huk przelewających się mas wodnych, chłop zaczynał usta i patrzył ponuro na przeciwny, wysoki brzeg ziemie kieleckiej. Był bezradny. Nie miejscu zielonych łąk rozlewał się na długo olbrzymie jezioro, a kiedy wody spływały do koryta, na polu pozostawało zboże skłuszczone naniesionym mulem. Nawet było nie chciało jeść, zakisłej w szlamie trawy. Do chat i do obór zaglądał w takie lata głód. Chłopi, patrząc jak woda zmywa ich krwawicę, soplali z determinacją.

— Hej ta Wisła, naniesie dobrej ziemi a potem zabiera co na niej się urodzi, jak macocha.

Przed wojną rząd sanacyjny puszczał „balony” o budowie wału, a w latach klęsk powodzianych, kiedy rozpacz chłopstwa przyberała powodzą gniewu, kapłań „zbiorkową” jamażną.

Nadzieje na wał można było perfidnie podsycać, bo każdy chłop rozumiał, że taka budowa wymaga setek tysięcy metrów ziemi i setek tysięcy dni roboczych, tylko państwo może takie dzieło przeprowadzić. Państwo? Ale nie kapitalistyczne!

Co powiecie o Świeciechowie, o drzemającej w nim siłę, wyobraźni i woli, kiedy wam doniosę, że na zebraniu gromadzkim w 1949 r. uchwalono: skończyć z wylewami! Skończyć własnymi chłopskimi siłami! Ta decyzja ma wymowę. Oto rewolucja. W nowej Polsce chłop odważył się wydać wojnę potężnemu żywiołowi. Zobaczył w sobie dostateczną ilość sił i wiary. Nie postawił „prośby” przed Rządem. Przeciwnie, uznał, że może odfiarować Rządowi i Ojczyźnie. Co to znaczy? Znaczy to, że nowy ustrój, że przemiany społeczne, że nowa władza ludowa, robotniczo-chłopska, stała się dla wsi i staje największą inwestycją, budzieliem możliwości re-

zerw, jakie dawniej szły na przepaść.

Wróćmy do faktów. Co w tym wypadku okazało się rezerwą inwestycyjną? Powiat Polski Ludowej! Dacie wiara, Świeciechów powstał na powiat, na 17 gmin, na wszystkie wsie, na większość chłopów w powiecie. Jak się weźmiemy razem, damy radę.

Świeciechów uwierzył, że chłopcy z całego powiatu — pomogą. To było odkrycie, odkrycie nowego du-

którym wezbrana woda wdzierała się na chłopskie pola i kładła pokotem zboża. W tę gardziel trzeba było wpaść 62 tys. m. sześć. ziemi, jeszcze tej samej jesieni. Gdyby nie wykonano w terminie roboty, wiosenne wody zmyłyby nasyd do szczętnie. Wielki, zbiorowy wysiłek nawet przez 2 tysiące m. brakujących zostałby zniweczony całkowicie.

Znów nie do wiary. Kto przyjechał pierwszy z pomocą? Gospo-

patryzm. A skutek? Jedni z transparentami, drudzy z muzyką budzili we wszystkich wsiach, przez które jechali, społeczne sumienie chłopów. A tam, gdzie ich wzywanie przetoczyły się, docierała legenda. Bo w opowieściach dzieci i kobiet ich fabory urastały do pięciokrotnej wielkości. Wyobraźni ożywił podziw, ambicja współzawodniczenia lęk przed obmową i ciekawość, co też tam w Świeciechowie się dzieje.

—

Zanim mróz ściał powierzchnię wód w rozlanej szeroko odnodze rzeki, gardziel pod wsi. Kopiec była zatkana. W wale długim na 3 tysiące 720 metrów leżało ubitych 130 tysięcy metrów sześciennych ziemi. Był to wyczyn tysięcy ludzi i koni, ale do końca roboty jeszcze było daleko. Co trzy kilometry nawet z górą — to nie osiem, bo na takiej długości trzeba było usypać wał, aby uchronić 1.200 hektarów najżyźniejszych pól, zolewanych corocznie.

Kiedy we wiosennym wylewie w r. 1950-tego pierwszy odcinek wału zatrzymał część mas wodnych i szkody były znacznie mniejsze. A wiara i wiara w się gromad i gmin znów poruszyła powiat. Dla uczczenia pierwszego roku Planu 6-letniego podwyższono wymiar robót do 25 m sześć. ziemi, a gdy to jeszcze nie starczyło — przy podejmowaniu w całym kraju Czynu Melioracyjnego — do 30 m sześć. ziemi na jeden wóz.

Znów na szosach powiatu krańcickiego pojawiły się długie koro-wody chłopskich wołów. W czerwcu 1950 r. wznowiono roboty, wykorzystując przerwy w pracach w polu. W chmurach pyłu, w skwarze słonecznym pracowali tutaj po kilkaset wołów dziennie, a były i dni w których doliczono się ich dwa tysiące.

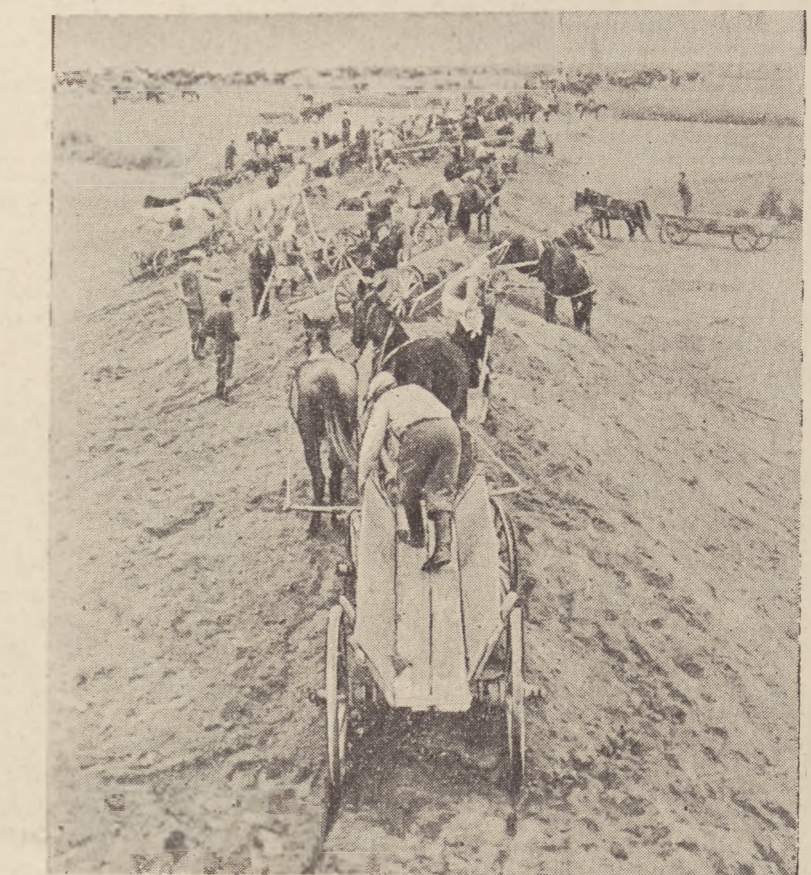
W gardzeli pod Kopcem zieleńta się już trawa, a na dalszych kilometrach sypano dopiero pierwsze pokłady między tyczkami.

Chłopski wał nad Wisłą stał się szkołą dyscypliny pracy i jedności ponadgromadzką i ponadgminną. Tu się poznawali ludzie z całego powiatu i zadziwiają przyjaźnie, jakich dotąd nie znali.

Gospodarza z Białej, Jana Florka, okrzyknął przodownikiem pracy. Pierwszy zwiózł ziemię na swą działkę. Prawie razem z nim skończyli robotę Jan Mucha, syn Michała z tej samej wsi i Jan Kozik z Batorza, który tak samo jak Ignac Wsielak z Janowa pierwszy zakończył robotę w swojej grupie.

Już tego lata zakończono główne roboty przy sypaniu wału. A miał on być budowany według planów dopiero za trzy lata, ukończony zaś w 1956 roku, już po wykonaniu Planu 6-letniego. Chłopi krańcicy w ramach pomocy sąsiedzkiej i Czynu Melioracyjnego usypali wał długości 8.100 m, zwożąc 310 tysięcy metrów sześciennych ziemi (sami gospodarze z Świeciechowa zwie-

(dokończenie na str. 7)



cha w narodzie. I kiedy delegacja przyjechała z tym pomysłem do Powiatowej Rady Narodowej i Powiatowego Komitetu PZPR w Krańniku, ówczesny przewodniczący PRN, tow. Jarmut, zrozumiał, że

— Działajcie, Partia i Rada będą zachęcały do sprawy, jaką podejmujecie.

Rozpoczęły się zebrania na wszystkich gromadach, na których przemawiali delegaci ze Świeciechowa. Opowiadali, że ich wieś na początku opodatkowała się w robociznie po 10 m sześć. ziemi od 1 ha. W agitacji różnie bywało, znajdowali się i tacy po wsiach, którzy nie mieli ochoty pracować dla dalekiego Świeciechowa, było ich jednak niewiele. Prawie wszystkie gminy i gromady postanowiły po zakończeniu zniw wyjechać nad Wisłę na roboty. Postanowili, ale czy i jak wypełnią zobowiązania?

Chłopi ze Świeciechowa zabrali się do roboty pierwszy w sierpniu tegoż roku. W fallistym terenie obok wsi Kopiec znajdował się jakby lej,

darze z gminy Batorz, leżącej na drugim końcu powiatu, o dobrych kilkadziesiąt kilometrów od Świeciechowa. Jechali od świtu do północy. Na wozach umocowali transparenty — żeby każdy wiedział, że jadą z sąsiedzką pomocą nad Wisłę. Gdy minęli Annopol i zdewastowaną kopalnię fosforów, ujrżeli z szosy na zieleńających łakach trzy rzędy słupów, znaczących granicę wału. Za nimi wypalikonano działki, na których trzeba było stanąć do roboty po trzech na jednej.

— Madrze obmyślił — śmiały się goście. — Tak to jeden przypłutuje drugiego i nie da mu się lenić, bo nikt nie zechce za drugiego robić. Odjechał Batorz — przyjechał Chranowa, dla odmiany nie z transparentami, ale z kapelą, która rznąła po drodze od ucha, budząc o świcie lub późnym wieczorem mijane wioski.

Przyjazd takiego Batorza czy Chranowa z drugiego końca powiatu to także objaw nowych dziejów wsi, to także wyraz nowego

Bronisław Góralik - Bożanowski

## Dzieje chłopca na Ziemiach Odzyskanych

ZIEMIE Odzyskane będą podniesione do rangi wielkiego ośrodka produkcji przemysłowej i rolniej. Ale chłopci repatrianci i autochtoni już byli tu od lat naoczni świadkami gigantycznej odbudowy zniszczonych wojną terenów. Na oczach ich dźwigały się z ruin wsie i miasta, fabryki i szkoły, niły ślady wojny. Obok odbudowanych zakładów pracy, dzwigniętych ze zgliszcz wsi i miast, oddanych do użytku dróg, linii kolejowych i mostów, wyrastały zaczęły nowe zakłady przemysłowe, nowe kolumny fabryk wystrzeliły w niebo, powstały nowe szkoły i przedszkola, dziesiątki nowych świetlic i bibliotek pokrywały siecią obszar Opolszczyzny, wyrosły jakby spod ziemi nowe osiedla mieszkaniowe, ośrodki maszynowe i różnorodne obiekty gospodarcze. Z uczuciem podziwu nieklamano obserwował autochton i repatriant zą Buga te poczynania władzy na Opolszczyźnie, widział, jak odradzała się ziemia, jak kształtował się nowy obszar życia. Wspaniałe tempo i porywały zą zą zą minionej wojny i jemu się zaczęła udelekać. Uparcie, z uczuciem wzrastającego obywatelskiego obowiązku i głębokim patriotyzmu brał się do likwidacji odłogów, wzmoczenie hodowli bydła i trzody, organizował współzawodnictwo w przedterminowym wykonaniu prac rolnych, podnosił wydajność pól i wchodził do spółdzielni produkcyjnych. Z dnia na dzień stają mu się one powszechnie — coraz bliżej.

Alle chłopci, którzy przyszedli na Opolszczyznę, myśleli początkowo, że wyjdą gorzej od tych, co się osadzili na innych częściach Ziemi Odzyskanych. Słabsze tu było rozmieszczenie przemysłu i rzadkie połączenia kolejowe na całym (obecnie zielonogórskim) województwie. Zerkali też to na Śląsk

Dolny to na Wrocławskie. Chłopi zwłaszcza w pow. Niemodlińskim nie mogli się ułupić za uprawę nasiennych czy przemysłowych upraw, najbardziej opłacalnych. A chcieli się za to wziąć nawet... zabuwając. Ale właśnie... brak koleji, dotkliwy brak koni i własna niezadarność gospodarza, pstrokacizna ludzi z różnych stron Polski, pstrokacizna zatem metod pracy i nawyków, bezpłodnie w nowych warunkach pa-wtarzanych — tak było na początku. Przez dwa lata uprawiano prawie te same rośliny, ziemia jałowiała, a plony były mniejsze, bez racjonalnego płodozmianu, mimo, że państwo wspomagało nas i nowozami i kredytami. Dwa lata huczało w naszych gromadach, jak w ulu, choć miodu jeszcze nie było. Huczkało od star, zdradzeń i wzajemnej nieufności, ale się też ze starych pni (krakowskie, kieleckie, rzeszowskie, śląskie, warszawskie i znał Bugu) wyrosły wreszcie nowe, zespolone gromady. Podnieśli ludzie głowy po wsiach i słuchać zaczęli, co się dzieje na innych, co w gminach, co w powiecie, co w województwie? Bo i o tym trzeba pamiętać że ludzie tutaj po raz pierwszy przecierali szlaki do gminy, do powiatu i województwa. Uczyli się topografii swojej nowej ziemi, nowych stosunków, nowych wydarzeń.

Po dwu latach, że również i ziemia nie jednako, bo tu less a tam il albo piach, wzmógł się powszechnie pęd do maszynowej obróbki i nawozu. A państwo właśnie ruszyło silnie z pomocą dla ułatwienia nam rewolucji w zacofanym systemie gospodarki. Jakby tak obliczyć potrzebna to była inwestycja i nie naraz, bo z roku na rok wciąż wzrasta. Już w r. 1950 prace wiosenne na Opolszczyźnie przeprowadzono maszynowo w 85%, a ilość nawozów sztucznych zużyta przez wieś

dwuokrotnie przewyższała wskaźnik z roku 1948, a czterokrotnie z lat tuż po wyzwoleniu. A dziś? Gęsta sieć POM-ów i SOM-ów rozporządza przeszło 450 snopowiązałkami i żniwiarkami, 700 kosiarekmi, 125 traktorami, ogromną ilością grabi, rek, plugów, wozów i innego sprzętu. Wszystko to stoi do dyspozycji małych i średniorolnych chłopów, którzy na przystępnych warunkach w szerokim zakresie korzystają z usług tych instytucji.

Kiedy w ubiegłym roku ogłoszony został Plan 6-letni, opolszczyzna weszła w nowy okres. Gdy bowiem dowiedziano się u nas o uruchomieniu nowej linii kolejowej, gdy przystąpiono do budowy dużej, nowoczesnej rozszarzi w Korfantowie, gdy wreszcie dowiedziano się, że w pow. opolskim powstanie fabryka włókiennicza, chłopów ogarnęło głębokie zadowolenie. Część z przeludnionych gromad pójdzie na zarobek do powstałych ośrodków przemysłowych, a pozostali będą gospodarować i dostarczać surowca dla zakładów. — Zmienia się życie na lepsze — mówią mieszkańcy powiatu obserwując powstanie kombinatów fabrycznych. Te wielkie widoczne zmiany w życiu gospodarczym powiatu i województwa, które w Planie 6-letnim ma się pokryć dziesiątkami ośrodków przemysłowych, setkami kilometrów linii kolejowych i nowych dróg, pociągają za sobą i mniejsze zmiany, które nie zawsze i nie przez wszystkich są dostrzegane, zmiany zachodzące w obrębie ich własnego gospodarstwa indywidualnego. Gospodarka obliczana na przypadek, oparta na dorywczym przypuszczeniu — przechodzi w planową, racjonalną gospodarkę. Wyrazem tego to planowania zasiewów, to rosnące kontraktowanie roślin. Oto gdy w gromadzie Małeczówce gmina Grebin chłopci postanowili omówić swoje plany w związku z nadcho-

dzającymi siwami, przybył z powiatu przedstawiciel ZSCh i długo chłopom tłumaczył co to jest rejoni-zacja i jakie daje rezultaty. — „Bo chyba zgodzimy się wszyscy że na tego — mówił prelegent — że na naszych ziemiach np. len będzie słaby, gdy natomiast uprawy przemysłowe, jak rzepak czy inne oleiste, udają się bez zarzutu. I dlatego powinniśmy uprawiać te rośliny, które udają się lepiej i są bardziej opłacalne”. — Chłopi niby to wysłuchali wszystkiego uważnie a jak przyszło do dyskusji, nie padł ani jeden głos.

Dlaczego? Chłopi byli obrażeni na to paplanie o „zasadach rzeczy samej w sobie”. Dobrze to abecadio rozumieją od czasu, jak w Korfantowie rozszarzi uruchomiono, jak Spółdzielnie ZSCh usprawniły skup produktów rolnych, jak sobie poobliczali korzyści w rozwoju linii kolejowych i z nowych budowli przemysłowych projektowanych w okolicy i powiecie. „Deklamator” pożełnani milczenie, a w dniu następnym na zebraniu w świetlicy sami obgadali dokumentnie plan wiosennych zasiewów, wprowadzając znaczne zmiany w projektowanym poprzednio planie upraw! I tak: 60% arealu przeznaczali pod pszenicę, 15 pod oleiste, 15% pod motylkowe a tylko 10% pod ziemniaki. Postanowili ponadto zlikwidować czarny ugor i obsiać go rzepakiem, a następnie go zakon-traktować.

Uprawy kontraktowane wszędzie po wsiach opolskich cieszą się powodzeniem. Np. Wawrzkiwicz, małorolny chłop, osadnik z Bielec na 4 ha gruntu, w zeszłym roku zakon-traktował pół ha rzepaku i 1 ha ziemniaków. W bieżącym roku obsiał 1,5 ha lnem. — A co ja będę tylko żyło siał? — Śmieje się odbierając kwit na nawozy sztuczne.

(dokończenie na str. 7)

Prof. JEAN HUGONNOT

Zastępca sekr. gen. Tow. Przyjaźni Francusko-Polskiej

List z Francji

ANDRZEJ PIWOWARZYK

List z Czechosłowacji

# Przyjaźń narodów Francji i Polski

PRZEZ długie tygodnie mury Paryża i wszystkich miast Francji, nawet najskromniejszych miasteczek i wsi w Zagłębiach Węglowych Nordu, Pas de Calais, Lotaryngii, Saony i Loary, w osiedlach górniczych St. Etienne, du Gard i Carnaux, zdobiły symboliczne afisze Miesiąca Przyjaźni Francusko-Polskiej, dzieła malarza Herve Morran: na błękitnym tle, w którym błękit śródziemnomorski łączył się z letnim błękitem polskiego nieba, gołębia w locie niesie gałąź oliwną. Na skrzydłach ptaka widniały barwy polskie i francuskie.

Miesiąc przyjaźni francusko-polskiej (kwiecień — maj 1951) nie pokrywał się z datami oficjalnego kalendarza. Zaczął się w kwietniu i przedłużył na cały maj, co dowodzi olbrzymiego sukcesu, z jakim spotkał się wśród francuskiej opinii publicznej.

Zapytajmy najpierw o przyczyny tego sukcesu. Nie były one kwestią przypadku. Nie ma przypadków w życiu narodu. Naród francuski przechodził w tej chwili decydujący okres swego istnienia. Od maja 1947, tj. od czasu, gdy Komunistyczna Partia Francji, partia Vallesa, Vartina, Jules Guesde'a, Jean Jaurès'a i Maurice Thoreza, została usunięta od władzy na rozkaz magnatów z Wall-Street, Francja przestała być krajem wolnym.

Imperializm amerykański i jego francuscy lokaje usiłują przekształcić ją w bazę agresji przeciwko Polsce, przeciwko ZSRR.

Armia francuska w planach amerykańskich generałów i Eisenhowera, „europejskiego Mac Artura” ma być dodatkiem do armii atlantyckiej. Atlantycy podpalacze świata ta chcieliby jej użyć przeciwko ludowi Francji i klasie robotniczej, chcieliby ją stopić z tą amerykańską armią okupacyjną, która jak olbrzymia pajęczyna oplątuje nasz kraj, budując na naszej ziemi bazy strategiczne, skierowane przeciwko Polsce, przeciwko ZSRR, i w której — według ostatnich obliczeń cytowanych przez sekretarza KPF, André Marty, znajduje się 45% byłych hitlerowców i żołnierzy Andersa.

Francja z kwietnia i maja 1951, Francja z czerwca 1951, która głosi miary swych obywateli i obywatelki, pomimo oszustwa wyborczego, powiedziała „nie” polityce wojny, jest krajem, gdzie płacę-ludzi pracujących straciły 50% swej wartości nabywczej w porównaniu z okresem przedwojennym, gdzie udział światła pracy w dochodzie narodowym spadł od 43,5% w r. 1947 do 34% w r. 1950, podczas gdy zyski trustów w tym samym okresie, wzrosły od 29 do 55%, gdzie cały ciężar podatkowy spada na szarych ludzi, a budżet wojenny przekracza 1.000 miliardów franków, gdzie od r. 1947 liczba bezrobotnych wzrosła w czwórnasob, bankrutwo dosięgło 17.000 przedsiębiorstw, a inflacja przybiera astronomiczne rozmiary.

W tej atmosferze oczom wszystkim Francuzów dobrej woli przedstawiła się konieczność zacieśnienia więzów ekonomicznych i kulturalnych francusko-polskich, konieczność zawarcia przymierza przeciwko odrodzeniu militarystyki w Niemczech Zachodnich.

Miesiąc przyjaźni francusko-polskiej zbiegł się w czasie z uczczeniem 80 rocznicy Komuny Paryskiej. W ciągu tych 72 dni, które przed 80 laty wstrząsnęły światem i były sygnałem poprzedzającym Wielką Rewolucję Październikową, przyjaźń francusko-polska nabrała swego właściwego znaczenia — braterstwa broni, które łączyło nie dwa

państwa, lecz dwa narody, jednakowo w tym czasie uciskane.

Francja ludowa, szczycąca się dawnością i bogactwem swych tradycji rewolucyjnych dumna jest z tego, że na jej ziemi, dzięki bohaterstwu generałów Wróblewskiego i Dąbrowskiego i 600 Polaków-bojowników Komuny, internacjonalizm proletariacki stworzył pierwsze państwo robotnicze na świecie.

Miesiąc Przyjaźni urozmaiciły liczne odczyty, po których wywiązywała się zawsze ożywiona i konstruktywna dyskusja. Odczyty te, przeznaczane dla najróżniejszych warstw społeczeństwa, wywołały żywe zainteresowanie, tak naturalne dla narodu, który poszukuje prawdy, i wie, że nowa Polska jest kra-

Bettelheim, dyrektora Wyższej Szkoły Handlowej, P. Grosjean, reprezentujący przemysł, z entuzjazmem nakreślił obraz nowej Polski. Liczne zgromadzenia przedstawicieli świata przemysłu stawiali pytania świadczące o zainteresowaniu kół przemysłowych dla wymiany handlowej francusko-polskiej.

Wielkie zainteresowanie wzbudziły również odczyty p. Blanche Prévost na temat matki i dziecka w Polsce, wygłoszone w Paryżu i Gennevilliers i p. Jules Duchat z CGT o nowym położeniu robotnika w Polsce.

Pogadanka p. Dominique Desanti na temat „Mężczyzna i kobieta w Polsce” przyciągnęła szerokie rzesze słuchaczy. Dominique Desanti z



Maurice Thorez i Henri Barbusse

jem pokojowego budownictwa, krajem lepszego życia dla wszystkich ludzi pracujących.

Jacques Nicolle, profesor Collège de France, który odwiedził niedawno Polskę i Niemiec Republikę Demokratyczną, przemawiał na temat doniosłego znaczenia stosunków polsko-niemieckich i utrzymania granicy na Odrze i Nysie, granicy pokoju.

Jean Noaro, sekretarz generalny Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej mówił studentom uniwersytetu i intelektualistom o reformie szkolnej w Polsce w Paryżu, St. Etienne, Lyonie i Gennevilliers. François Cusset, zastępca sekretarza generalnego Towarzystwa, wygłosił w Paryżu odczyt charakteryzujący stosunki pomiędzy państwem i Kościołem w Polsce. Liczne reprezentowane wśród słuchaczy duchowieństwo francuskie dało wyraz swemu zainteresowaniu dla tego zagadnienia, dokola którego krążyły tyle kłamstw i oszczerstw.

Emile Tersen z wielką znajomością problemu przedstawił rolę Polaków w Komunie Paryskiej, nawijając do tradycji francusko-polskiego ruchu oporu, która każe pamiętać wszystkim Francuzom, że 80.000 Polaków walczyło w armiach francuskich w r. 1939-40, że 70.000 partyzantów polskich uczestniczyło w walce przeciw okupantom nazistowskim od 1940 do 1945 r., i że w wielu miastach francuskich stoją pomniki, wzniezione ku czci bohaterów rozstrzelanych w ostatniej wojnie, na których można odczytać tyleż samo nazwisk polskich co francuskich.

Pierre George, profesor Sorbony dwukrotnie wobec architektów wygłosił odczyt o Warszawie, wielkiej stolicy socjalistycznej, omawiając ze zwykłą sobie jasnością nowy charakter urbanistyczny w Polsce.

Z równie wielkim zainteresowaniem spotkał się odczyt na temat wymiany gospodarczej francusko-polskiej wygłoszony przez p. Charles

wielką znajomością rzeczy przeprowadził porównanie między zamierającą już dawną Polską obszarową i rozwijającą się w blyskawicznym tempie Polską socjalistyczną, podkreślając, przy pomocy przykładów, różnicę życia człowieka w jednej i w drugiej Polsce. Po odczyty wywiązała się żywa dyskusja, wyrażająca wielkie zainteresowanie Francuzów dla życia w Polsce Demokratycznej.

Publicysta Roger Maria mówił w sali Mutualité o przyjaźni polsko-radzieckiej. 600 osób z wielkim zainteresowaniem słuchało tego odczytu, ukazującego, jak te dwa wolne narody zawarły przymierze niezbędne dla pokoju świata w tym samym czasie, kiedy francuskie kółka rządzące deptały na każdym kroku pakt francusko-radziecki.

Konferencja prasowa, rozpoczynająca miesiąc przyjaźni, zgromadziła 150 uczestników. P. Wanda Jakubowska, reżyser „Ostatniego etapu” oraz dyrektor Filmu Polskiego p. Albert wygłosili odczyty, których wysłuchało 300 filmowców i artystów paryskich, reprezentujących wszystkie odciany opinii politycznych.

Koncerty p. Władysława Kedry w sali Gaveau w Paryżu i w Domu Ludowym w Lens, oraz Haliny Czerny-Stefanickiej w sali Gaveau i w Ośrodku Kulturalnym zarządu zakładów Renault w Billaincourt były prawdziwymi triumfami sztuki muzycznej polskiej.

W osiedla robotniczych podmiejskich okolic Paryża nie było dnia, aby filmy polskie i żywe dyskusje nie wypełniały konkretną treścią Miesiąca Przyjaźni. Wschód i Północ Francji na równi z Paryżem uczestniczyły w tych braterskich manifestacjach.

Zmarshallizowana prasa, strumieniowane radio, mimo najszybszych chęci, nie mogły pominąć milczeniem Miesiąca Przyjaźni. Możliwe że to byłby jedynym dowodem — gdyby dowód taki był potrzebny — jak potężny i nieodparty jest nacisk opinii publicznej w epoce, w której dylemat „wojna czy pokój?” staje przed ludźmi z całą ostrością i jaskrawością.

Kongres Przyjaźni Francusko-Polskiej, (dn. 12 maja) otworzył wszystkim Francuzom, okłamywanym przez wojenną propagandę, nowe horyzonty widzenia klimatu potrzebnego dla nadejścia prawdziwej francuskiej demokracji ludowej.

„Za naszą wolność i waszą” — dwa narody pozostają wierne hasłu wypisanemu na sztandarach powstańców polskich w Warszawie w 1830 r. i wyciągają wszystkie swe siły, aby imperializm amerykański nie mógł uchylić z Francji strategicznej bazy agresji przeciw Polsce i ZSRR, aby nie mógł zmienić przybranej ojczyzny Mickiewicza, Chopina, Dąbrowskiego, Wróblewskiego, Curie Skłodowskiej i 350.000 robotników polskich we Francji, w nowym cmentarzu, w nową Koreę.

Zadania przyjaźni francusko-polskiej nigdy nie były większe, niż w tej chwili, ale też nigdy nie były większe jej nadzieje.

Czerwcowe wybory wykazały prawdziwą wolę Narodu starej, pięknej, rewolucyjnej Francji. Jest nią — pokój i postęp. A to oznacza głębszą braterską przyjaźń i szacunek dla braterskiego narodu Polski, dla jego chłopów, robotników i inteligencji.

Jean Hugonnot

CHŁOPI z Bożetachowa, zapadłej wsi słowackiej, długo myśleli nad tym, jakby powiększyć swoje dochody. Wieś była mała. Liczyli 212 gospodarzy, ciśniętych, w 40-tu starych chałupach.

Wszyscy razem mieli 330 ha ornego. Jak i co zrobić, żeby wyżywić rodzinę, gdy i ziemia nie była najlepszym gatunku.

Gromada postanowiła złożyć hodowlę drobin. Na wniosek Jana Krzysztoficza zeszło się po zniwach 25-ciu gospodarzy i wybrali Komitet Organizacyjny. Do grudnia stanęły pod dachem zabudowania farmy. 25-ciu chłopów z Bożetachowa, mających razem 93 ha ziemi, odpracowało dobrowolnie kilka tysięcy godzin. (Potem, jak policzono, trzeba by za tę robotę zapłacić około 50-ciu tysięcy koron).

Inni mieszkańcy wsi chodzili cały czas bokiem i przyglądali się w milczeniu. Nie wierząc, żeby się kiedykolwiek mogło coś zmienić w okolicy, nie mieli przekonania do kolektywnej pracy.

Przyszła zima r. 1949. Drogi jak zawsze zawiąły w okolicy śniegiem. Mrozy nie dawały nosa wyściubić na dwór. Najlepsza pora do debaty i opowiadań. Jak świat światem w Bożetachowie nie czytało się nic poza żywotami świętych pańskich i modlitewnikami. Nawet nie można powiedzieć, że się czytało. Ot, kartałkowano się i mówilo, bo wszyscy znali na pamięć przysięgę Daniela w jaskini lwów i przysięgę świętego Jana na rusztach. Wies słowacka jest znacznie uboższa od wsi czeskiej, bardziej religijna. Toteż inne książki w Bożetachowie były rzadkością.

Dopiero budowa farmy, która się powiedziała — i konieczność zagospodarowania farmy („bo jak zrobiliśmy już tyle — robmy dalej” — mówiono) spowodowały, że chłopcy wzięli się do czytania. Rada Spółdzielni Czechosłowackich, do której Komitet Organizacyjny z Bożetachowa zwrócił się o materiały informacyjne, przysłała całą furę broszur i czasopism. Listonosz wiejski zapadał w śniegu i szedł z pobliskiego miasteczka do Bożetachowa o dwie godziny dłużej niż zwykle. Tyle tego wszystkiego było.

Po komisyjnym rozpakowaniu przesyłki gromada zabrała się do czytania. Krzysztoficzowi przypadła w udziale broszura pod tytułem „Doświadczenia rolników z spółdzielniach produkcyjnych”. Na temat tych doświadczeń wywiązała się między 25-ciu założycielami wspólnej hodowli drobin szeroka dyskusja. Wieczór w wieczór mówiło się o trudnościach i problemach roboty w polu. W końcu wszyscy zgodnie doszli do wniosku, że nie można wogółem dalej tak, jak dotąd, że nie wystarczy sama farma drobinu, bo nawet na 93 ha można więcej zbierać, szybciej i taniej pracować. Pokazali to inni — tak przynajmniej wynikało z broszury i z całego szeregu wydawnictw, w których pisano o istniejących już w Czechosłowacji spółdzielniach produkcyjnych.

Trzeba przejść od zastarzałych form chałupniczej produkcji indywidualnej do produkcji masowej i społecznej. Ba, ale jeśli da się wszystko rozwiązać mechanizacją, wynikałoby z tego, że trzeba zaościć miedze. A na to zebrani nie mieli jeszcze ochoty. Zbyt stary i zbyt zakręplony był jeszcze tamtej zimy konserwatyzm chłopów w Bożetachowie. Wspólna hodowla drobinu — owszem. Wspólny zasiew — proszę bardzo. Mogą być wspólne zbiory, ale co do miedzy — o, to jeszcze nie, na to sobie poczekamy!

Rzecz jasna, że niemałe znaczenie miała w tym wypadku propaganda rozsiewana przez dwu czy trzech zamownych gospodarzy, śmiejących się w kułak ze „spółki”, — założonej przez pierwszych 25-ciu.

„Mnie by się przyszedł pokornie spytać, jak się to robi! Tu powinien stanąć pod progim, zdjąć czapkę i poprosić o wyjaśnienie” — mówił o Krzysztoficzu młynarz, siedzący na 20-tu ha.

Młynarz, chodząc po wsi, chwycił się za bok i ilekroć zobaczył któregoś z członków powstającej spółdzielni.

„Ludzie, trzymajcie mnie, bo pęknięcie ze śmiech” — powiedział. Ten śmiech pobudzał tylko najbardziej zawziętych do tym gorętszego przygotowania planu wspólnych prac wiosennych. Ułożono wreszcie wszystko według wzorów z innych spółdzielni, o których czytano w nadesłanych przez Rząd Spółdzielni materiałów informacyjnych. Plan miał odpowiednią część finansową i oparty był na obietnicy przysłania z Państwowej Stacji Maszyn trzech traktorów. Prócz tego we własnym zakresie zdolano zmobilizować pięć zaprzęgów koni. Przygotowano ziarno i nawozy. Wypadało teraz czekać sprzyjającej pogody.

6-go marca 1950 roku 25-ciu chłopów z Bożetachowa, powitawszy traktorzystów czem kto mógł — wyszło w pole. Przygotowano i nalożono maszyny. Najpierw ruszył traktor z pługiem i broną, za nim konie z rozrzucałkami nawozu, potem trzy pary koni z siewnikami, potem zaprzęg z bronami lekkimi.

Prorocstwa i śmiechy młynarza skończyły się tak nagle, jakby brzytwa uciął. Cały Bożetachów doszedł do wniosku, że grunty spółdzielców zostały nie tylko szybciej, ale i lepiej obsiane. Kiedy spółdzielcy skończyli zasiew jęczmienia, zapomniałszy już o robotce przy burakach cukrowych — pozostali mieszkańcy wsi zaczęli dopiero z burakami. Kolektyw pracował szybko i taniej. Przy starych metodach roboty na zasianie 30-tu ha jęczmienia, należących do spółdzielców, trzeba było 12 dni. Teraz zasiew został przeprowadzony w ciągu 5 dni. A jeden ze starszych członków spółdzielni, dziadek Niemczowicz, rozgniewał się nawet, że nie było dla niego roboty, że go Komitet Organizacyjny posyłał przy każdej okazji na „spacer”.

A jak wypadł plan finansowo? Skończywszy roboty wiosenne spółdzielcy wzięli ołówki i zaczęli liczyć w obecności ciekawych z całej wsi. Z obliczeń wynikało, że praca na jednym ha jęczmienia z orką, rozrzucałkami i siewem kosztowała 40 proc. taniej niż przy uprawie indywidualnej. To znaczy, że zaoszczędzono na 30 ha prawie 15 tysięcy koron. „Niewierni”, nie należący do spółdzielni, wzięli do ręki rachunek ze składu nawozów i z Państwowej Stacji Maszyn i zaczęli liczyć po swojemu. Liczyli z góry na dół, z dołu do góry, tak i siak i zawsze to samo wychodziło. A nawet według nich, tych postronnych obserwatorów, spółdzielcy nie tylko że zarobili 15 tysięcy, ale i coś ponad tę sumę. Tajemnicza wyszła na wierzch, kiedy okazało się, że nie należący do spółdzielni, nigdy tak wysoko nie oceniali swojej pracy. Do

czasu na przejazd z jednego skrawka na drugi. Krzysztoficz zaproponował, żeby znieść miedze, a zostawić w polu tylko kolki. Było jasne dla wszystkich członków spółdzielni w Bożetachowie, że skoro wspólnie zasiałi — powinni wspólnie zebrać, że tak samo trzeba opracować plan zniwa i omłotu, a potem plan robót jesiennych.

O tym dalszym etapie rozwoju Bożetachowa, o tym wyższym stopniu walki chłopów bożetachowickich o wyjście z „idiotyzmu życia na wsi” — mówił Krzysztoficz tak: „nie myślcie, że wszystko szło jak z płatka, że nie było trudności. Uskutecznienie czegoś takiego, jak wspólny jesienny zasiew całej wsi nie należy do rzeczy łatwych. Trudności mieliśmy zawsze u nas i przedtem, zanim powstała farma drobinu — dziś już dobrze funkcjonująca — i potem były trudności jak przystąpiłiśmy do wspólnych zniw. No ale trudności są po to by je pokonywać. I nie tylko myślnie je mieli”...

Szczególnie wtedy, gdy doszło do wspólnego zasiewu jesiennego, za przyczyną dwu bogaczy i młynarza zaczęły się niesnaski. Nowi członkowie spółdzielni, mając za sobą mniejsze doświadczenia, zaczęli sarkać na małe zarobki. Aczkolwiek zarobki były większe niż przy pracy indywidualnej każdego na swoim, ludzi trzeba było ciągle przekonywać na nowo.

Warto zaznaczyć w tym miejscu, że dziadkowie Uljaki i Niemczowicz czując się pokrzywdzeni tym, że nie bierze się ich do roboty w polu, stali się bardzo gorliwymi i czynnymi aktywistami politycznymi spółdzielni, (nie licząc tego, że pomagają stale w zarachowaniu dniówek).

A więc sami spółdzielcy, żeby przekonać innych, musieli się zacząć uczyć. Musieli się wiać do czytania, żeby móc odpowiadać. Tą drogą przyszła do Bożetachowa, wsi zabitej deskami od świata, polityka, przyszła konieczność wystawienia domu spółdzielczego



Gejza Salay — Narada

tego jeszcze doszło to, że jęczmień spółdzielcy został zasiany prawie o tydzień wcześniej, niż gromadzki. A tydzień wcześniej to oznacza przecież coś — niecodnie!

Wieś przejrzała na oczy. Wszyscy poza młynarzem i dwoma bogaczami wyrazili chęć przystąpienia do spółdzielni. A spółdzielcy, sprawdziwszy na własnej skórze to, co jeszcze temu i owemu wydawało się w zimie propagandą, zaczęli myśleć o tym, żeby iść dalej.

Krzysztoficz wrócił do swej koncepcji. Zaczął przekonywać innych, że robota byłaby jeszcze lepsza i tańsza, gdyby traktory nie musiały trafić

go z sąlą zebrań, skąd już tylko krok od oświaty i kultury, do wspólnej pralni, która by odciążała w pracy kobiety, do kina itd. Teraz wieczorami po skończonej pracy chłopcy w Bożetachowie opracowywali plany racjonalnej uprawy ziemi i racjonalnej hodowli bydła. Wiedzą już „co dalej”.

Krzysztoficz mówił: „Gdybyście spytały, co dalej? dwa lata temu, nie wiedzielibyście, jak wam odpowiedzieć. Znaleźliśmy drogę i z tej drogi nie zejdziemy. — Jak teraz wspomnie o tym, co było, a co jest — to mi się wydaje, jakby się u nas na wsi wstrząsnęła ziemia”...

Andrzej Piwowarczyk

# Dzieje chłopca na Ziemiach Odzyskanych

(dokończenie ze str. 6)

W tychże Bielicach najlepsze wyniki w kontraktowaniu osiąga Tili autochtom. Ludzie mówią, że Tili robi „doświadczenia”. W zeszłym roku 1 ha gruntu obsiał rabarbarem, 1/2 ha trawą, a 1/2 ha burakami cukrowymi. Buraki miał wspaniale, a trawa i rabarbar rokujący piękny zbiór. — Bardzo to się oplaca — przekonuje Tili. Był w Związku Radzieckim. Przez jedno lato pracował w kolchozie w okręgu saratowskim, gdzie uprawiano w dużych ilościach rabarbar i pomidory. Dzięki niezwykle obfitemu plonowi i oplacalnemu cenom kolchoźnicy żył w prawdziwym dobrobycie.

Prawda, że uprawy kontraktowane wymagają więcej pracy, są pracochłonne, co znacznie lepiej byłoby wykonywać maszynami. Zwłaszcza chłopcy, nie mający rąk do pracy w swojej rodzinie, wzdychają do całkowitego zmechanizowania rolnictwa. Stopniowo pragnienia ich będą się urzeczywistniały. Wspaniałymi wynikami w tym względzie pochwyciły się mogą i spółdzielnie produkcyjne, które większą część prac wykonują maszynowo.

Szczególony podziw w spółdzielni produkcyjnej w Bielicach budzą sprowadzane z ZSRR oplewacze do buraków. Dzięki temu udodgnienui zaoszczędza się wiele czasu na

pilne prace w polu. Nie inaczej jest także w hodowli. Jak było z hodowlą bydła i w jakich warunkach utrzymywano je, najlepiej wiedzą rapatrianci, którzy w większości zamieszkują Bielice. „Hodowla” małorodnego chłopca z Wołynia czy Podola ograniczała się do jednej krowiny, będącej mieszańką różnych ras. Wąska miedza i polna droga — oto wypas przez całe lato. Na hodowlę wysokogatunkowego bydła pozwalał sobie jedynie obszarnik.

Dziś w oparciu o wzory radzieckie następują u nas i pod tym względem wielkie zmiany na lepsze. Szereg zootechnicznych placówek naukowych prowadzi prace nad podniesieniem hodowli bydła. Na opolszczyźnie istnieje już taka placówka, pod Opolem, zaopatruje ona w pierwszym rzędzie PGR-y i spółdzielnie w zarodowe, piękne bydło. Całkowite wykonanie tego planu możliwe jest w pełnym systemie gospodarki socjalistycznej. I rzeczywiście wzorem pod tym względem są spółdzielnie produkcyjne na Opolszczyźnie, które swoimi osiągnięciami na odcinku hodowli promieniują na gromady, koncentrując uwagę chłopów gospodarujących jeszcze indywidualnie.

(Bronisław Góralik-Bożanowski)

# Świeciechów to wielki temat

(dokończenie ze str. 6.

ził 56 tysięcy m.) — to znaczy 30 tysięcy wagonów.

Pociąg taki ciągnąłby się na przestrzeni 300 kilometrów, zająłby więcej tor w Warszawie do Poznania. Pracowało tutaj 620 tysięcy wozów chłopskich. Gdyby je wszystkie ustawili jeden za drugim — sznur ciągnąłby się przez 3.720 kilometrów. Trzeba by było ustawić w czterech rzędach na drodze między Krakowem i Gdynią.

Wartość robót wyniosła 17 milionów złotych, zaoszczędzonych dla skarbu Państwa, a przez wstrzymanie wylewów zapobiegnię się corocznie stratom 50 milionów złotych.

Przez tyle lat spłukiwała woda ciężkie miliony, pokolenia całe nie daly jej rady, a teraz w dwa lata zagroziłiśmy jej drogę na pola — zastanawiał się niejednen nad siłą, jaką wyzwała z mas socjalistyczne budownictwo.

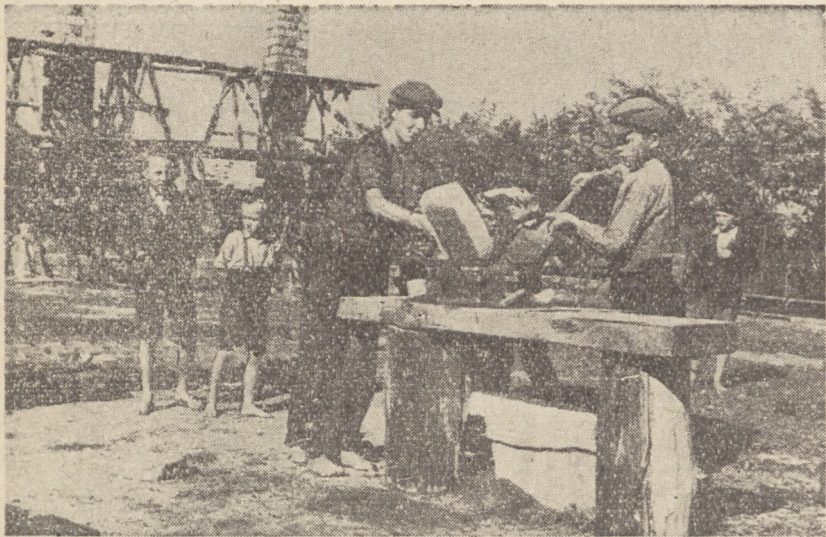
Kto raz spróbuje swoich sił w wielkim przedsięwzięciu, nabiera wiary w swoją moc. Chłopi z powiatu krańcickiego nie zadowolili się budową wału świeciechowskiego. W tym roku (1951) postanowili do dnia 22 lipca przeprowadzić 133 tysiące dni roboczych i zaoszczędzić w ten sposób 1 milion 203 tysięcy złotych. W porównaniu z wartością robót pod Świeciechowem (510 tysięcy zł. w obecnej walucie

tegoroczny Czyn Melioracyjny powiatu krańcickiego przekracza dawne osiągnięcie więcej jak dwukrotnie. Wał przeciwpowodziowy nad Wisłą jest już usypany, zabrano się więc w gminach i gromadach do robót melioracyjnych. Mając takie osiągnięcia chłopcy powiatu krańcickiego weszli do współzawodnictwa wieszki powiatu w kraju A reguluje się brzozi rzeki Lubni w pow. bielskim, drenuje mokradła w pow. wódawskim. Z powiatu tomaszowskiego nadestano meldunki o rozpoczęciu robót w 82 gromadach wartości 105 tysięcy złotych. W Zamjskim oblicza się wartość przeprowadzonych robót na 259 tysięcy złotych.

Wiedzi kiedy powstała spółdzielnia produkcyjna w Świeciechowcie? W zeszłym roku, kiedy roboty przy wale dobiegaly końca. Osiągnięcia przy budowie przekonały przedsiębiorczych gospodarzy, że tylko wspólnie można zrobić to, czego w pojedynkę nigdy się nie dokona. Praca przy wale wlewała — kolektyw. A wał w Świeciechowcie był wielką lekcją patriotyzmu socjalistycznego dla całego powiatu.

Czyż zgłębiłem, zaczynając ten list od propozycji dla pisarzy? Nie jest to temat do wielkiej, epickiej prozy, na chwałę naszego ludu?

Krystyna Palys



## Wybór zawodu

Znaczenie nauki, zwłaszcza nauki, mającej praktyczne zastosowanie w rolnictwie, wrosło na wsi niezwykle w ostatnich latach. Coraz częściej słyszy się w rozmowach między dorosłymi i młodzieżą na wsi takie słowa jak: traktor, maszyny rolnicze, kombajny, ziarno selekcyjne, system wielopolowy, mechaniczna obróbka ziemi, plon i kontraktacja, nie mówiąc już o nawozach sztucznych, które cieszą się w spółdzielni gminnej nie mniejszym popytem, niż węgiel czy inne artykuły przemysłowe.

A przecież pamiętam że w tej samej wsi w latach 1945-46, a nawet i w 47 jeszcze nawet celowość stosowania nawozów sztucznych była dla niejdziałalnego wiele problematyczna, a o orce traktorem przevažał sąd wybitnie umyślny. Dziś nawet najbardziej zacofani, rekrutujący się przeważnie (w terenie dostępnym mojej obserwacji) z biedoty wiejskiej, przekonał się naocznie o konieczności postępu i technicznej w rolnictwie i tem żywiec doceniają teraz ważność nauki jako dzwigni doożrobytu i kultury.

Swiadczy o tym między innymi wybór zawodu przez młodzież szkolną. Jakkolwiek głos tu ma przede wszystkim młodzież, to jednak nie na tyle, by inspiracja, czy choćby tylko aproba rodziców była bez znaczenia. W wyborze zawodu zawsze da się odkryć ślad wpływu wychowawczego nie tylko szkoły lecz i domu.

A oto jakie motywy podaje młodzież w tym wyborze zawodu.

Piętnastoletni Feluś, uczeń o średnich zdolnościach, syn matorolnej wdowy, tak uzasadnia swą chęć zostania ślusarzem - mechanikiem: „Chcę pracować w obramym przez siebie zawodzie, bo chce, żeby w Polsce nie było żadnej wsi bez traktorów i nowoczesnych maszyn rolniczych. Dla produkcji tych maszyn potrzeba jest wielu fachowców ślusarzy i mechaników. Takim ślusarzem - mechanikiem pragnę właśnie zostać”.

Zawód ślusarza, mechanika, zofera cieszy się wśród chłopców wielkim powodzeniem. Na 28 absolwentów klasy VII (14 chłopców i 14 dziewcząt) aż 10 chłopców wyraziło chęć pracy w tych zawodach. Wszyscy są synami matorolnych, przeważnie z rodzin wielodzietnych, niezamożnych. Jedna z dziewcząt wyraziła chęć zostania traktorzystką. Jest to córka matorolnego, nadzianego z reformy pięciu hektarów ziemi z foliarką. Siostra jej idzie do gimnazjum, po skończeniu nauki pragnie zostać nauczycielką, aby jak mówi: „kstałcic i wychowywać za kolei młodzież, by wyrosła na dobrych obywateli Polski Ludowej”. Nauczycielkami pragną zostać jeszcze dwie dziewczynki, 17-letnia Marysia i 14-letnia Irka. Pierwsza uzasadnia swój wybór tak: „Mimo późniejszego wieku mogę dziś się uczyć i widzę jasną przyszłość dla siebie. Nauką w szkole pragnę przycisnąć się do realizacji Planu 6-letniego, a później pracą w zawodzie nauczycielskim ugruntować socjalizm w umysłach i sercach dzwiarzy szkolnej”.

Autorka tej wypowiedzi to córka robotnika kolejowego, posiadająca duże zdolności do nauki, produkująca

## Książki nadesłane

KSIAZKA I WIEDZA.

- D. Bachsziw — Dziewiąty zjazd WKP(b) (1920) — str. 147.  
 Beaumarchais — Cyrulik Sewilski — str. 159.  
 Józef Cyrankiewicz, Edward Ochab, Roman Zambrowski — Zagadnienia frontu narodowego — str. 43.  
 T. Czechow — Chłopy — str. 19.  
 T. Czechow — Zbiec — str. 19.  
 B. Fiedorowicz — Obliczce pustyni — str. 261.  
 Blasco Ibanez — Ziemia przekięta — str. 237.  
 F. D. Łapiew — J. W. Stalin Twórcą ustroju kolchozowego — str. 42.  
 F. Rabinowicz — Młodzież pewnej fabryki — str. 141.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL  
 Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12, tel. 40180-90  
 Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr. 7.

Prenumerata 1 Kolportaż: P. P. K. „Ruch” Oddział w Warszawie, ulica Śródmiejska 12, tel. 804-20 do 25  
 Tel. Red. Nacz. 727-86. 161 Redakcji 751 80-2 wewnątrzny 91, 63  
 REDAKCJA NIE ZAMOWIANYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA  
 Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 8 Krzyż 16, Chmielna 25.

Warunki prenumeraty:  
 miesięcznie 3—2; kwartalnie 9—2; półrocznie 18—21; rocznie 36—21.

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PRO. Warszawa 1-6842 110 7 zaznaczeniem „za tyż”. Wieść.

PSW PRASA Warszawa Marszałkowska 3/5 2-8-35002

## Ludzie i sprawy

Głogosz, chłop matorolny z powiatu radomszczańskiego do którego najpierw wstąpił, machnął ręką i rzekł: „Co mi tam będziecie tłumaczyć, ja dobrze rozumiem, że dla przyspieszenia rozwoju gospodarki potrzeba pieniędzy, dlatego deklaruje jako pożyczkę 120 złotych...”. Następny gospodarz, którego odwiedziliśmy, Stomkiewicz, także nie pozwolił się przekonywać. Bez żadnej dyskusji zadeklarował 180 złotych. I tak dalej i dalej. Ogółem na 25 chłopów tylko trzech nie mogło się zdecydować od razu na zadeklarowanie. Jeden z nich ob. W., gospodarz o przychodowości ponad 12.000 złotych oświadczył, że nie może zadeklarować żadnej sumy, gdyż nie ma pieniędzy(?) Jak będzie miał to sam przynieść, nawet i wtedy gdy państwo już nie będzie potrzebowało pożyczki. Drugim był matorolny chłop ob. K., który oświadczył, że owszem, ma pieniądze ale pożyczki nie zadeklaruje, bo jego ojciec opowiadał mu, że za cara pieniądze nie pożyczali, a też dobrze było. Wreszcie trzecim z naszej trójki był miejscowy ksiądz. Oświadczył on, że pożyczki nie deklaruje, bo nie ma dochodów. W tym miesiącu bowiem miał tylko 2 ślubu, 3 chrzciny i 1 pogrzeb. Na naszą uwagę, że sąsiedni proboszcz zadeklarował 200 złotych, odparł, że „tamten to może, bo w tym miesiącu (w czwartku) miał siedem ślubów i cztery pogrzeby. Z tych wywodów katolickiego „duszpasterza” wynika, że biedaczek bez częstych pogrzebów nie ma z czego deklaruwać. A „okrutny” los nie układa się pomyślnie dla proboszcza, owieczki

nie bardzo chcą się kłaść do trumny. W wioskach Korytno i Kalinki, gm. Maciawice już w pierwszym dniu zbierania deklaracji swój udział w pożyczce zadeklarowało ponad 60 proc. gospodarzy. W liczbie tej byli wyłącznie mało i średniorolni chłopci. Ciekawy jest fakt, że ob. K. nie zadeklarował w pierwszym dniu żadnej sumy dlatego, że krytycznie ocenia pracę miejscowej spółdzielni ZSCH, którą kierują nieodpowiedni, jego zdaniem, ludzie. Mianowicie gdy przyszła mąka do spółdzielni rozdzielono ją pomiędzy czterech obywateli. Tak samo dzieje się z materiałami odzieżowymi, z cukrem i wyrobami mięsnymi, a rozdziel zwłaszcza cukru odbywa się stanowczo niewłaściwie. G.S. każdą otrzymaną ilość cukru dzieli równo na filie nie biorąc pod uwagę, że w jednej gromadzie mieszka około 150 gospodarzy, natomiast w drugiej ponad 300 gospodarzy. Taki zdawałoby się „sprawiedliwy” podział pewnych towarów i niewłaściwy podział towarów innych poderwał zaufanie ob. K. do władzy ludowej. Po długiej dyskusji ob. K. zapewnił nas, że pożyczkę zadeklaruje, a co do spółdzielni — opiszemy natychmiast jej działalność w korespondencji do „Gromady” lub „Zielonego Sztandaru”. Chodzą za pożyczką „odkryliśmy” zatem korespondenta. Tak to na wsi jedna sprawa drugą wspiera i odwrotnie i jakkolwiek zaniedbania w jednej dziedzinie odbijają się i na innych wydawałoby się odległych sprawach.

Gustaw Tomala.

## Obrachunek

W powiecie rybnickim 80 proc. chłopów zadeklarowało na Pożyczkę Narodową sumy znacznie wyższe niż przewidywało to uchwała Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej.

U nas w gromadzie Kosztowy Chłopi przystępując do omówienia Pożyczki Narodowej zanalizowali najpierw, co dla nich uczyniła już wiaźda ludowa. Matorolny Sowa, słusznie podkreślił, że wiaźda ludowa nie tylko myśli o miastach i o przemyśle, ale dba i o wieś.

„Patrzcie na naszą wieś — mówił — Kosztowy otrzymały instalację wodociagową, zelektryfikowano całkowicie wieś, uruchomiono 12 sklepów spółdzielczych”.

— „No i otwarto dwie świetlice, z których jedną wyposażono z 1000-otomową biblioteką, co tydzień przyjeżdża kino, wysyłając interesujące filmy” — wyliczał inni.

Na tym nie koniec. Bo są również siewniki, miocarnie, poradnia sanitarna i przedszkole i wiele innych osiągnięć gromady, które zawdzięcza ona naszej władzy ludowej. Gromada dąży ustawicznie do stworzenia sobie lepszego życia.

Wycieczka chłopów z naszego legnickiego powiatu, zorganizowana przez ZSCH jeździła do Nowej Huty pod Krakowem — i chłopcy opowiadają z zachwytem o budownictwie tego ośrodka pracy, jak również o podawaniu o wielu innych nowych budowach, które widzieli po drodze.

Przed wojną było ma'o fabryk, panowie je nie tylko nie rozbudowywali, ale wręcz przeciwnie — nieraz je zamykali robiąc, jak u nas mówili chłopci, tak zwane „wygasy”, a to w tym celu, by podwyższyć cenę na artykuły produkowane w danej fabryce. Przez to robotnik tracił pracę — stawał się bezrobotnym, a poza tym cały lud musiał drożej płacić za produkty przemysłowe. A obecnie w Polsce Ludowej rozbudowuje się fabryki, fabryka żadna nie robi „wygasu”. Dlatego nie ma bezrobotnych, coraz więcej potrzeba ludzi do fabryk, coraz więcej potrzeba ludzi wyszkolonych zawodowo — i szkoli się w średnich i wyższych zakładach naukowych, a nauka ta jest udostępniona każdemu... My chłopci pamiętamy, że przed wojną za rządów Polski sanacyjnej dla dwu odrębnych osób klas, tj. dla proletariatu — rudery i sutere-

## Coraz więcej chłopów rozumie

Coraz więcej nas chłopów rozumie, że dobre jest nie tylko to, co robił nasz „dziad” czy „pradziad” — lecz wprowadzamy do naszego gospodarstwa ulepszenia. Idziemy i my z postępem, bo wiemy, że kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Świat idzie ciągle naprzód, a my, rolnicy, nie tylko że nie możemy pozostawać w tyle, lecz jeśli nie wyprzedzać, to przynajmniej dotrzymać kroku musimy prawdziwemu postępowi.

Bierzemy dziś przykład z naszych dzieci, z naszej młodzieży... Widzimy sami, jak córki i synowie nasi garną się do wszelkiego rodzaju szkół, by zdobywać oświatę, wiedzę, rozumieją bowiem dobrze że nauka, że wiedza to największa potęga, pragną więc wiedzy tej zdobyć jak najwięcej, bo wyszkolony rolnik potrafi z roli wyciągnąć maksimum korzyści, potrafi podwoić a nawet potroić plony. Dziś każdy

z siebie lepszego życia. Zebranie zakończono uchwałą, której ostatnie zdania tak brzmią:

„Rząd ludowy sędzi nam na rękę, udziela kredytów długoterminowych i pomocy wszelkiej w potrzebie — pożyczymy i my, chłopci, tak dla wspólnego dobra jak i dla nas samych, gromady”...

Matorolny Brom zadeklarował dwa i pół raza więcej niż to przewidywała uchwała ZSCH mówiąc: — „Wiecie co ludzie, mnie, to wyszłoby z dochodu, z samego pola nie tak wiele. Ale przecie ja i kołniam dorobię, przewożąc towar, to dam dwa i pół raza tyle”.

To samo uczynił matorolny Stolon, który podwyższył zadeklarowaną sumę o 40 proc. Podniosło zobowiązania także 7 innych.

Sąsiednia gromada Krasowy, dowiadując się o tym szlachetnym czynie swoich przyjaciół z Koszów, aby nie pozostać w tyle — również gremialnie deklaruowała wpłaty na pożyczkę. W ten sposób obydwie gromady zebrały wspólnie ponad 16 tys. złotych.

Jerzy Hlond

## Umiemy porównywać

„Jaśnie panów” — piękne jasne pokoje. To samo było i na wsi — pałace dla dziedziców, a nędzne czworaki — dla służby folwarcznej. Nie wiele lepsze chaty od czworaków służby folwarcznej mogli wybudować sobie chłopci mało i średniorolni, a obecnie w Polsce Ludowej — buduje się w Warszawie i innych miastach piękne i nowoczesne urządzone bloki robotnicze — buduje się i wiele przestronnych, jasných i ciepłych domów na wsi. Któż to przed wojną słyszał o założeniu na wsi stałego kina? A na ogólną ilość 7 gmin w naszym powiecie 3 gminy posiadają już stałe kina. Któż to przed wojną słyszał o ośrodkach zdrowia na wsi? A w naszym powiecie 3 gminy już posiadają te ośrodki. Któż to słyszał ażeby organizować świetlice na wsi? — A w naszym powiecie już jest 23 świetlice zarejestrowanych, a obecnie myślimy, aby wybudować w gromadzie Kunice wielki, obsługujący kilka wsi Dom Kultury. W każdej prawie wsi są dziś ludowe zespoły sportowe, które w nas jest 23, liczne ludowe zespoły artystyczne, chóralne, muzyczne, biblioteki gromadzkie.

Bronisław Marcinek

## W Rzeszowskim

## Przed zniwami

Szybkiymi krokami zbliżają się zniwa. We wszystkich gminach, gromadach i wsiach województwa rzeszowskiego, począwszy od 14 czerwca radzą chłopci nad sprawnym przebiegiem akcji zniwomiotowej. Ustalają plany pomocy sąsiedzkiej, planują wykorzystanie maszyn z POM-ów. W spółdzielniach produkcyjnych, których jest już 108, produkują się maszyny własne i planuje udział w zniwach maszyn oraz traktorów z POM-w. Trwają intensywne przygotowania w PGR-ach.

Radzą chłopcy wespół z przedstawicielami Partii i Rad Narodowych, bo nie chcą by powtórzyły się zeszłoroczne błędy i zaniedbania. Zle ustalone plany spowodowały, iż SOM-y wykonywały przewidziane prace zaledwie w 45 procentach; niewłaściwi ludzie w komitetach członkowskich i fałszywie pojmwane planowanie spowodowały, iż kulawy z gromady Frysztak, powiatu krosnińskiego zdyskredytowali pomoc sąsiedzką i biedniacy szli do nich jak w latach poprzednich — znów na odrobek za konia czy wóz; w PGR-ach na odmianę sprawnie wykonano sprzęt zbóż, ale zapomniano o zwózce i 10 procent zbóż zostało narażone na deszcz, a 4-6 procent zrosło całkowicie na pniu. Przemysł POM chciał od razu wiele działać, zaplanował w jednej tylko gromadzie Stubno sprzęt zboża z obszaru 1700 ha, chłopcy przyklasnęli temu „wyczynowi”. Ale po podsumowaniu wymiaku pracy POM-u okazało się, że był on w stanie tylko obsłużyć 800 hektarów.

Radzą chłopcy, gdyż chcą jak najsprawniej wykonać tegoroczne prace zniwne. Ruszyli już w teren komitety członkowskie i komisie, których zadaniem jest sprawdzenie stanu maszyn w SOM-ach,

Andrzej Wera

## Czołowi ludzie

Pewien młody dziennikarz z „Nowin Rzeszowskich” pisał reportaż z fabryki. Był w Radzie Zakładowej, był u sekretarza Partii, rozmawiał z przewodnikami, oglądał hale fabryczne i magazyny. I reportaży napisał. Znalazły się w nim opisy technologiczne, rolio się od cyfr, procentowego wykonania norm i planu. Brakło jednak czołowi. A przecie za cyframi planu stoi żywy człowiek, bohater codziennej pracy i o nim nie wolno zapominać.

Ziemia Rzeszowska ma też swoich czołowych ludzi, realizujących Plan 6-letni. Kto są ci ludzie, wyrabiający 200, 300 i więcej procent normy dziennej? Oto jeden z nich, znany na całe województwo cieśla Mieczysław Szela, majster z PPB. Kiedyś był on „popychadłem”, wędrującym z budowy na budowę, z miejsca na miejsce, wystającym przed fabrykami dla zarobienia paru złotych. Nikt się Szelą nie interesował, bo i po co. Interesowano się natomiast, czy będzie przy największej zapłacie. Teraz Szela pracuje przy budowie hal fabrycznych w Rzeszowie. I wyrabia 600 procent normy. Szela, cieśla nie znaczący w latach sanacji nic, dziś stał się pierwszym w woj organizatorem pracy ciecielskiej. Jemu podległe zespoły Szczepańskiego, Franciszka Szeli, Ziaji, Jakóbca właśnie dzięki tej organizacji osiągają także prawie 400 proc. normy. I dumni są ze swego majstra.

W rowadowskiej parowozowni przeżywało ostatnio wielką uroczystość. Przewodnik pracy — ma-

POM-ach. Oby któraś z tych komisji jak najprędzej dotarła do przemysłowego POM-u. Niedobrze się tu dzieje. Na maleńkim dziedzińcu zgromadzone tak wiele maszyn, że traktorzyści i mechanicy z trudem się między nim przeciskają, by dostać się do szopki-kuźni. I jak tu myśleć o należytym i na czas przeprowadzonym remoncie, kiedy na skutek tego tłoku żaden z mechaników nie wyrabia swych norm. Bo i hala warsztatowa to też szopa, w której nie wiadomo jak się obrócić. I ciemno w niej, bo przez matowe szyby światło z trudem się przesaćca. A tu zniwa za pasem.

Tymczasem przy ulicy Wiśniowieckiej świecą pustką wspaniałe budynki właśnie przeznaczone dla POM-u. Od trzech miesięcy. Bo Zarząd Elektryfikacji Wsi z Rzeszowa nie dostarczył do tej pory transformatora do linii wysokiego napięcia, doprowadzonej na 50 metrów od budynku. I wcale się tym nie przejmują, że zniwa nadchodzi, a na monity odpowiada — „znajdziemy gdzieś transformator, to elektryczność doprowadzimy w tempie rekordowym”.

Zniwa to bojowe zadanie. To realny wkład w budowę Frontu Narodowego, w dzieło realizacji Planu 6-letniego. Muszą one szczególnie sprawnie w roku bieżącym przebiegać. Nakłada to wielkie obowiązki na Rady Zakładowe, na chłopów, na wszystkie instytucje rolnicze, a tym samym i na POM i Zarząd Elektryfikacji Wsi z Rzeszowa. Ostatnia uchwała KC Partii w sprawie Gryfic winna być groźnym ostrzeżeniem dla tych, którzy wypaczają linię Partii i Rządu, którzy powodują karygodne zaniedbania naruszające nasz Plan.

Andrzej Wera

szynista Konstanty Grygorowicz został udekorowany Złotym Krzyżem Zasługi. Zaoszczędził on ze swą żoną parowoz TR 201-70, w skład której wchodzi Stanisław Wójcik, Stanisław Tulak i Emil Wronski, od września ub. roku do czerwca b.r. węgla i smarów na sumę 11.750 zł.

Wśród czołowych ludzi woj. rzeszowskiego są i kobiety. Oto w hucie Stalowa Wola już po raz trzeci przodownictwo pracy zdobywają kobiety — Anna Morska osiagająca 190 procent normy, Kutnikowska, Kwaśnicka wypracowująca 259 procent norm. A kiedyś były tylko zwykłymi — jak Szela cieśla — robotnicami, szukającymi bezskutecznie po fabrykach zarobku.

Takich jak wymienieni jest coraz więcej. Cecylia Czerwińska, pierwszy wytapiać na piecu w Stalowej Woli, Edward Kowal racjonalista rowadowskiej parowozowni, Stanisław Bezek, Władysław Kozub, Bazyli Wójtowicz matorolni chłopci i korespondenci gazet, Piotr Ożański młodzieży przodownik pracy — dziecko ziemi rzeszowskiej, dziesiątki nowych, socjalistycznych ludzi.

I okazuje się, że plan to nie tylko cyfry. To w pierwszym rzędzie, jak uczy Stalin — żywy człowiek. „Plan produkcji to żywa działalność, działalność w praktyce milionów ludzi. Realność naszego planu — to miliony ludzi pracujących, którzy tworzą nowe życie”. Niech te znamienne słowa wodza proletariatu będą wyraźnym wskazaniem, dla dziennikarzy i pisarzy.

Wojciech Smuła

## Trzeba lepiej przekonywać

„No jak, skoro widzą złą oborę, bo choć nowa, ale źle wewnątrz wybudowana... No jak, kiedy w spółdzielni pracuje tylko czterech chłopów, a czterech, choć jest członkami, ugania się za robotkiem w Sochaczewie... No jak, kiedy nauczyciel podobnie jak Dziurzyński wystąpił z kolektywem i przeniósł się do innej miejscowości... No jak mają się biedniacy przekonac, jeżeli kułak Mateusz Chalański, posiadający 20 mórg ziemi, bezkarnie występuje przeciw spółdzielni, chociaż w czasie akcji skupu zboża dokonanego u niego przymusowego omłotu...”

Idźmy dalej. Maszyny do spółdzielni dostarcza POM z Teresina. Ale przyjazd traktorzystów ogranicza się jedynie do wykonania orki. Żadnej roboty politycznej nie widac.

Przez rok czasu nie naprawiono błędów geometrii przeprowadzającego komasację gruntów. dzielni, choć niewyrobieni politycznie ludzie, jest w nich wiele marnowanego zapalu. Chodzi więc tylko o pomoc ideologiczną, partyjne uzbrojenie. Polityka bowiem rozstrzyga, kieruje gospodarką. Ten prymat polityki nad ekonomią, widoczny w planowaniu wielkich budowli Planu 6-letniego, musi być widoczny i w spółdzielni andrzejowskiej. Tej tezy leninowskiej o pierwszeństwie pracy politycznej wypaczać nam nie wolno.

Maciej Kotiera

Józef Firek